

Nr 7/8

Maj/
SIERPIEŃ
2004

ISSN: 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.
GORZOWSKI KLUB LITERACKI ZLP

Ireneusz Krzysztof Szmidt

Z PRZEPUSTKĄ DO HISTORII

Odszedł Poeta, który prozą napisał najważniejszą książkę swojego życia. „Zniwolonny umysł” był drogowskazem do drugiej niepodległości naszej ojczyzny.

Przepustki do historii literatury stemplują krytycy. W czasach, kiedy panowały jasne i czytelne systemy wartości, wśród nich jednako ważne – służba narodowi i ojczyźnie zniwolonej przez wieki i sztuce samej w sobie – byli nimi często świetni pisarze, świadomi swego warsztatu, którzy swojej epoce narzucali własny sposób mówienia i styl pisania. Przechodzili do historii pisarze, na których wyżywali się współcześni im krytycy i oni sami, nawet wtedy, gdy ich osądy po latach ulegały niekorzystnej dla nich weryfikacji. Wśród krytyków epoki wieszczów byli m.in. Kazimierz Brodziński („Wiesław”, „O klasycyzmie i romantyzmie...”), Jędrzej Śniadecki („O pismach klasycznych i romantycznych...”), Maurycy Mochnacki („O duchu i źródłach poezji w Polsce”, „Poezja i czyn”, „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym”). Młoda Polska i Międzywojnie mogą się szczycić Karolem Irzykowskim („Czyn i słowo”, „Walka o treść” – polemika z teorią awangardy i „czyste formy” Witkacego), autorem nowatorskiej powieści psychologiczno-intelektualnej pt. „Pałuba” i Tadeuszem Boy-Żeleńskim („Znasz-li ten kraj?”, „Ob-rachunki fredrowskie”, „Brazownicy”, wreszcie „Słówka” i kilka tomów „Flirtu z Melpomeną”). Epoka „przedwolnorynkowa” zostawiła nam w spadku krytyków „profesjonalnych” wyposażonych w warsztat krytyczny na polonistycznych wydziałach uniwersytetów. Do nielicznych wyjątków należeli tacy wielcy, jak Jan Błoński („Zmiana warty:), czy Artur Sandauer („Bez taryfy ulgowej”, „Dla każdego coś przykrego”, opowiadania „Śmierć liberała”) i Piotr Kuncewicz („Agonia i nadzieja”), którym także nieobcy był kanon społecznej funkcji literatury i jejoczesne miejsce w historii literatury współczesnej.

Dziś, gdy przewartościowano prawie wszystko, co nie tylko w hi-

storii literatury i sztuki zapisywano złotymi literami, także idee tworzące humanistyczny porządek naszego świata, trzeba postawić pytanie czy dysponujemy jeszcze jakimś „aktem wiary” w jakikolwiek kanon kultury, który pozwoliłby nam uzasadnić nasze preferencje – kanon podobny do tego, który lansowała w swoim czasie krytyka „wielkich”? To, co się dzieje na rynku sztuki i krytyki polskiej świadczy raczej o tym, że kanony najczęściej dziś się kontestuje. A każda krytyka wyrasta z mniej lub bardziej wyraźnie określonego, jeśli nie kanonu, to przynajmniej uznawanego na zasadzie powszechnej zgody” uniwersum wartości. Samo pojęcie „krytyki” to przecież nie tylko wyrażanie osądów, ale i odniesienie się do jakichś podstaw wartościowania. Trudno było mi się zgodzić z metodą jaką zastosował nowo upieczony absolwent UAM, magister Stanisław Barańczak publikując pracę osądzającą od czci i wiary cały dorobek wybitnej poetki Kazimierzy Iłkiewiczówny. Wszedł przebojem na rynek krzywdząc nie tylko poetkę, ale także jej czytelników. O tym incydencie nikt już nie pamięta, a sam krytyk dziś jest przede wszystkim cenionym poetą, wybitnym tłumaczem Szekspira i profesorem literatury. Oceny tych „wielkich”, nierzadko też były niewyważone, wręcz niesprawiedliwe. Możemy nie podzielać ich ówczesnych gustów, ale to, co oni wnieśli do naszej wiedzy o literaturze i sposobach jej odbioru, składa się na tradycję, która zobowiązuje do kontynuacji.

Legendę Czesława Miłosza w dużej części też stworzyli krytycy. O wiele mniejszą w tym rolę odegrali czytelnicy z uwagi na hermetyczny język i wysoki intelektualizm

jego poezji. Oni określają, co jest arcydziełem, co mierne, a co jest „pomiędzy”. Środowiska, które nie mają swoich krytyków, błądzą w ciemności. Pewnie i nasze lubuskie do takich należy, choć ma Krzysztofa A. Waśkiewicza z gdańskiego importu. Dlatego tak cenię wszystkie próby opisu naszej rodzimej twórczości, których podejmuje się Czesław Sobkowiak z Zielonej Góry, czy Krystyna Kamińska, Beata Klary

Ireneusz Krzysztof Szmidt Krajobraz po...

**Poumierali nam poeci,
a ziemia wciąż się jeszcze kręci.
Przyszło nam żyć bez marzeń,
trzeźwo,
bez alkoholu, bez pamięci.**

**Już pogodzeni, cisi, skromni,
z wziętą zaliczką tęgich batów,
czekamy na łaskawym chlebie,
aż brat założy pętlę bratu.**

**I tylko nie wiadomo, który
Kainem będzie, który Ablem
i czy ofiara Panu Bogu
pakt umożliwi z Panem Diabłem.**

**Dźwigamy co dzień nasze ciała
na coraz wyższe piętra strachu.
I coraz dalej nam do nieba,
i coraz bliżej nam do piachu.**

i Anna Makowska z Gorzowa. Na spotkaniach warsztatowych zachęcam młodych adeptów pióra, do odwagi „w tym temacie” dając im do dyspozycji kolumnę „Szkoly krytyki”. Niestety, rzadko skutecznie. Dziwi mnie ospałość i brak ambicji pokazania się na publicystycznym rynku studentów polonistyki PWSZ

Kryzys krytyki artystycznej, jaki dziś nam się jawi, ma głębokie źródła. Choć piętnaście lat minęło od powstania III Rzeczypospolitej ciągle cierpimy na brak stabilizacji, której życie artystyczne ogromnie potrzebuje. Kolejne zapaści, doświadczenia wojenne, socjalistyczny „mecenat” wyrażany odgórnym sterowaniem wszystkiego, zwłaszcza kulturą i sztuką, doprowadziły do dezintegracji środowisk twórczych, także rozminięcia się twórców i krytyków z czytelnikami, a szerzej z odbiorcami wszystkich sztuk. Po okresie „przedrynkowym” odziedziczyliśmy także tę sztuczną „profesjonalizację” krytyki, z jej wytycznymi teoretyczno-ideologicznymi. Do dzisiaj panuje w środowiskach twórczych przekonanie, że krytyk to zawód, wymagający specjalnych studiów, które wyposażają go w sprawne narzędzia (język?) ekspertyzy. A mnie i wielu z nas wystarczyłoby, ażeby krytyk, czyli ten, co zechce zająć się na piśmie moim pisaniem, był wrażliwszym czytelnikiem od przeciętnego, posiadał smak i umiał w sposób żywy, odkrywczy kon-

frontować swoje spostrzeżenia i refleksje z zasadami wartościowania zjawisk artystycznych, które w ocenianym dziele odkryje. Prawo do oceny tego dzieła może on nabyć przez systematyczny kontakt z literaturą i jej twórcami oraz więź ze środowiskiem. Krytyk, podobnie jak każdy twórca, kształci się, zbierając doświadczenia, przez całe życie. Nie powiem, że nie powinien być erudytą, ale na tyle, żeby teoria nie zamuliła mu precyzji myśli i prostoty języka, którym zechce się komunikować ze mną i moim czytelnikiem. Nie mogę mu zabronić prawa odwoływania się do ustalonych przez siebie, oryginalnych standardów gustu i smaku, ponieważ jako pisarz, poeta mam świadomość, że decydując się na publikację swoich utworów włączam je tym samym w krwioobieg krytycznego odbioru. Tym samym podpisuję zgodę na każdy, stroniczy nawet akt analityczno-krytyczny, nieważne czy pióra „pampersa” literackiego, dawniej żółtodziobem zwanego, czy wytrawnego profesjonalnego zoila.

Odszedł poeta. Odszedł z przepustką do historii literatury powszechnej. Ale nim odszedł napisał w jednym ze swych wierszy: „No i co z tego, że nie całkiem umrę, bo pozostanie po mnie dzieło...” Miał świadomość, że największą wartością, ponad każde dzieło, jest życie, którego Bóg jest jedynym uprawnionym krytykiem.

Ireneusz Krzysztof Szmidt

Anna Makowska

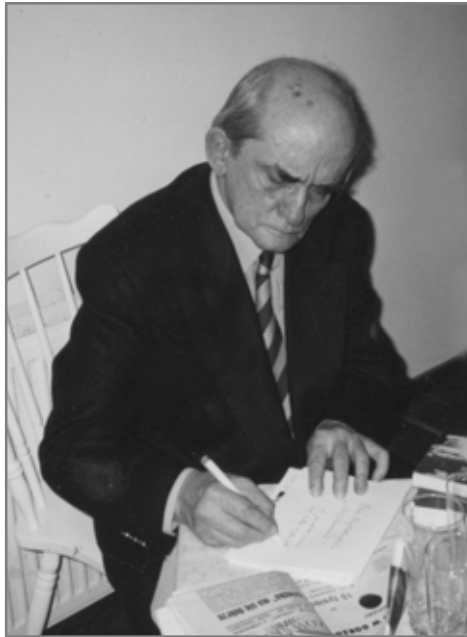
Poezja Cyganów polskich

Twórczość poetycka Cyganów od korzeni realizowała się w pieśni. Czasem – wskutek ustnego przekazu – modyfikowała się do tego stopnia, że dochodziło do wyparcia pierwowzoru lub zmiany wyjściowego znaczenia pieśni. Powstawały one przy ognisku taborowym, improwizowano je przy okazji ważnych uroczystości rodzinnych, pieczołowicie celebrowanych przez Cyganów. Bezimienną poezję Cyganów jako pierwszy zebrał i opublikował na początku XX w. Izydor Kopernicki w „Textes tsiganes”. Książka zawierała 30 baśni oraz 100 pieśni i piosenek Cyganów polskich z Podkarpacia. Przekładów niektórych utworów dokonał **Jerzy Ficowski**, który anonimową poezję Cyganów określa jako „ubogą, przeważnie prymitywną, ale pełną świeżości i autentyzmu”. Przytoczę jeden przykład: „Cyganeczko młoda // podaj mi dzban wody! Będę pić ze dzbana // I z twych ust kochana!” Znaczenie powiedzenia „pić z czyichś ust” w kontekście cygańskiego języka i obyczajowości nabiera specyficznego znaczenia. W języku Cyganów nie występuje czasownik „kochać”. Zbliżone do niego „te kameł” obejmuje również znaczenie pojęcia „chcieć”, „pragnąć”, „mieć na coś ochotę”. Nazywając uczucia miłości Cyganie używają metaforycznych sformułowań, np. „Jem twoje oczy” („Me chaw tre jakha”), „Piję twoją twarz” („piav tro mujoro”). Przytoczony tu cytat z wiersza bezimiennego twórcy ma charakter poważnego, miłosego wyznania, jakże emocjonalnie wyrażonego.

Oprócz metafor i jej odmian cygańska poezja bogata jest w porównania, symbole, środki składniowe (z przewagą apostrofu) i dialogi, dzie-

ki czemu utwory nabierają dynamizmu i autentyczności. Spośród wielu motywów wplecionych w bezimienną poezję cygańską jest kobieta, karczma, utrata najbliższych, bieda, las i... pieśń cygańska. Można je odnaleźć również w twórczości współczesnych poetów cygańskich.

Najwybitniejszą poetką cygańską była, i do dziś za taką uchodzi, **Bronisława Wajs-Papusza** (ur. 17.08.1908 r., zm. 8.II.1987 r.) z domu



Jerzy Ficowski na spotkaniu z czytelnikami w restauracji „Gracja” w Gorzowie, w sierpniu w 1996 r.

Zielińska. Dzięki własnym staraniom nauczyła się czytać i pisać. Po ślubie z Dionizym Wajsem (bratem ojczyma) znalazła się w szczepie *polska Roma*, w kręgu Cyganów–muzyków wędrujących przed wojną po Podolu, Wołyniu i Wileńszczyźnie, a od 1945 r. po Ziemiach Odzyskanych. Jako poetka zaistniała dzięki Jerzemu Ficowskiemu, którego poznała latem 1949 r. Znany poeta, tłumacz i cyganolog namówił ją do zapisywania tworzonych przez nią pieśni („gila”). Twórczość Papuszy wysoko cenił **Julian Tuwim**. Sławę i znajomość z Ficowskim opłaciła chorobą psychiczną, u której podstaw było posądzenie jej przez Cyganów o zdradę rodowych tajemnic, obyczajów cygańskich. Sytuację zaogniła wydana w 1953 r. książka J. Ficowskiego „Cyganie polscy” zawierająca również szkic o niej oraz słowniczek wyrazów polsko-cygańskich. Żyła w samotności. W 1981 r. – w stanie nerwowego wyczerpania – została przewieziona do Inowrocławia, do siostry. Zmarła w Inowrocławiu (1987 r.) i tam została pochowana. Od 1962 r. była członkiem Zielonogórskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Dotychczas ukazały się trzy tomiki poetki: „Pieśni Papuszy” (Wrocław 1956), „Pieśni mówione” (Łódź 1973), „Lesie, ojczy moją” (Warszawa 1990) oraz niemiecko – polski tomik pt. „Papuscha” z prze-

kładami Karin Wolff (Berlin 1993 r.). Mimo wielu opracowań na jej temat (zwłaszcza tragicznych niemal losów), ciągle brakuje dogłębnej analizy literackiej jej utworów. Obszerna bibliografia o Papuszy znajdująca się w gorzowskiej bibliotece zwalnia mnie z obowiązku szerszego omówienia jej twórczości.

Izolda Kwiek (ur. 15.XII.1954) i **Teresa Mirga** (ur.14.XII.1962) należą do tych twórców cygańskich, których taborzy nie wędrują od blisko 200 lat. Pierwsza z nich (ze szczepu *Kelderasza*) przyznaje, że czuje się również Ślązaccą (urodziła się w Siemianowicach) związaną emocjonalnie z Rudą Śląską. Debiutowała tomikiem „Żal” w 1995r. Kolejny zbiorek nosi tytuł „Powrót do przeszłości” (1997) oraz „Schody do miłości”(1999). Autorka przygotowuje do druku zbiorek „Zwiędłe liście”. Wszystkie wiersze I. Kwiek (tak, tak! – to nazwisko królewskie Cyganów; dziś bez jej ojca Woszo Kwieka nie odbędzie się żaden cygański sąd – przyp. A.M.) pisze po polsku. To matka przekazała jej wiele pieśni, nauczyła szacunku do tradycji i opowiedziała okrutną historię Cyganów z lat czterdziestych. W twórczości I. Kwiek można wyróżnić trzy wątki: martyrologia, dzieci, liryka miłosna. Tęsknotę za lasem, ogniskami, wędrownkami, wypowiada – jak sama określa – „cygańskim sercem”. Utwory naznaczone są rekwizytami powszechnie kojarzonymi z życiem Cyganów – ognisko, gitara, las, śpiew, tabor, czerwone wino. „*Liryka miłosna najbliższa jest memu sercu, ostatnio głośno wołam o pamięć dla Romów poległych w Oświęcimiu i nie tylko*” twierdzi poetka. Tę pamięć wyraża w sposób bezpośredni: „*Dużo pisano o polskich jeńcach, a jeszcze więcej o Żydach, // Dlaczego o Cyganach nikt nie wspomnia! // o Cyganach, którzy potrafili rozweselić las*”. Ma też wielkie uznanie i sentyment do Papuszy. Drugą, obok poezji, pasją Izoldy jest taniec i śpiew. W zespole „Tabor”, który założyła występuje wielu członków jej rodziny.

Podobne zdolności ma Teresa Mirga, która kieruje zespołem „Kałe Bała” („Czarne Własy”). Pochodzi z grupy Cyganów Karpaccich, mieszka w Czarnej Górze k. Bukowiny Tatrzańkiej. Tomik poetki „*Soske kawka?*” („Czemu tak?”) ukazał się w 1994 r. Ciekawostką jest to, że 13 utworów napisanych jest w jęz. polskim, a 7 posiada dwie wersje językowe: polską i cygańską, obie autorstwa Mirgi. Włączono je do kolejnego tomiku „*Pieśni z Czarnej Góry*” (1999), potwierdzającego, że pojawiła się utalentowana poetka cygańska. Jej wiersze są jak kubek czystej źródlanej wody, w której odbija się twarz z wyrazem bólu i potęgą uśmiechu, twarz spragniona szczęścia... („*Ból mija szybko, nie jestem sama. // Niech króluje niebo*”). I co ciekawe, w jej wierszu – Cyganki, która nigdy nie wędrowała, jest motyw rzeki, powierniczki tajemnic, u Cyganów posiadających niezwykłą charyzmę: „*moja bystra, rwąca rzeka (...) Wszystko o mnie wiesz, bo Ci mówię (...) Leczysz moje rany (...) Przytul mnie i pociesz (...)*”. Dodajmy, że T. Mirga śpiewa przejmująco, otula głosem człowieka. To muzyka u źródła, ale przekazana współcześnie, o czym mogli przekonać się miłośnicy poezji cygańskiej 3 lipca 2004 r., podczas spotkania z jej poezją w WiMBP w Gorzowie Wlkp., oraz występów „Kałe Bała” w gorzowskim amfiteatrze.

W Gorzowie Wlkp. dwa nazwiska Cyganów też łączyć można z poezją. **Edward Dębicki** (ur.4.III.1935 r.) pochodzi z grupy Cyganów polskich. W 1993 r. ukazał się jedyny, jak na razie, dwujęzyczny tomik „*Teł nango boliben*” („Pod gołym niebem”). Z cygańskiego na język

polski wiersze Dębickiego przełożył J. Ficowski. Dominującym motywem, podobnie jak u Papuszy i innych poetów, jest tęsknota za młodością utraconą wraz z wędrowaniem, przyroda, las oraz jego mieszkańcy. Najczęściej ptaki, z których każdy posiada swoją symbolikę. Negatywnie postrzegana jest tylko sowa, która straszy „*śpiewem swoim*”. U Cyganów polskich sowa jest symbolem nieszczęścia, symbolem śmierci. Bywało, że wytropiona w lesie, była przez Cyganów po prostu zabijana! Nic więc dziwnego, że najnowsza książka E. Dębickiego (wspomnienia z wojennych przeżyć taborów cygańskich na Wołyniu) nosi tytuł „*Ptak umarłych*”.

Natomiast drugi gorzowski poeta – Cygan, **Karol Parno-Gierliński** (ur. 12.III.1938 r.) pochodzi – jako jeden z nielicznych Cyganów mieszkających w Polsce – z grupy Sinti. W 2001 roku ukazał się jego pierwszy tomik „*Xaratuno thuv*”. („*Odległy dym*”). Przedtem pojedyncze utwory i proza poetycka drukowane były w prasie poznańskiej, cygańskim miesięczniku „*Rrom – po – Drom*” oraz almanachach poetyckich. Należał do grupy literackiej „*Wirry*”. W jego intelektualnych wierszach tradycja spleta się ze współczesnością. Świat Gangesu i „*dzwonne śpiewy pobielanych kotłów*” kołyszą się we wspomnieniach „*jak brzozy dobrotliwe*”. Poeta tłumaczy to koniecznością wyjścia z lasu „*w prawa nowe*”. „*Serir i beton – prawa miasta // I starych pieśni zamliczenie*”.

Jak sam mówi – myśli po cygańsku, natomiast – i tu novum – pisze wiersze w języku polskim, ponieważ polski daje mu większą paletę barw słownych niż język romski. Tomik ilustrowany jest fotografiami rzeźb samego poety, bo też Parno jest znakomitym rzeźbiarzem. Wystarczy wspomnieć Pietę Poznańską czy rzeźby w wojcieszyckim kościele.

Aby dopełnić informację o poetach cygańskich w Polsce należy wspomnieć o Stanisławie Stankiewicz (red. nac. „*Rrom – po – Drom*”) z Białogostoku i Don Wasylu z Włocławka (ur.10.IV. 1950), których pojedyncze wiersze pojawiają się w prasie lokalnej..

Romualda Parys, z której artykułu korzystałam („*O poezji Cyganów – Romów w Polsce*” – „*Rrom – po – Drom*”

1999, nr 1–9) stwierdza, że „w Polsce istnieje jeszcze wielu piszących Cyganów. Niektórzy czekają na odpowiedni – ich zdaniem – moment”.

R. Parys uważa, że imienną i bezimienną poezję cygańską dzieli poetycka przepaść. „*Twórczość współczesna zrywa z improwizowaną pieśnią – jej ostatnie ślady widać jeszcze w poezji Papuszy. Pozostali twórcy w sposób niekiedy dalece wyrafinowany operują słowem (...)*” Lapidarne utwory, wielość i różnorodność środków poetyckich u wymienionych tu poetów potwierdzają ich indywidualną obecność w świecie słowa.

Pod względem tematycznym dominuje liryka refleksyjno-filozoficzna, miłosna i (rzadziej) religijna. Poezja ta pełni większą funkcję estetyczną i ekspresyjną od poprzedzającej ją cygańskiej poezji bezimiennej. Cechuje ją ogromne bogactwo środków stylistycznych wyrażających związek z przyrodą, z Bogiem (jako Panem Stworzenia, twórcy świata), codziennym bytowaniem i tęsknotą za tym, co odeszło na zawsze, czy wreszcie uczucia miłości w różnych odcieniach (fascynacja, oczarowania, samotność, zdrada, ból...) Tak naprawdę, jej wizerunek nie różni się od wizerunku przedstawionego przez innych poetów. W tym aspekcie polska poezja cygańska jest bliska każdej poezji. I jej filozoficznej – obejmującej różne aspekty bytu ludzkiego, miejsca człowieka w świecie, życia i śmierci, retrospekcję – również.

Anna Makowska



Teresa Mirga z zespołem Kałe Bała na spotkaniu w WiMBP

Poezja Papuszy dziś

Śpiewne, proste wiersze sławiące życie w taborze, życie w lesie, wolność, jaką daje wiatr. Jest ich niewiele, stanowczo za mało. Ich autorka – Papusza genialnie wręcz pokazała, co tak naprawdę w jej życiu było ważne.

Są wiersze, które bardzo szybko umierają. Decyduje o tym temat, sposób ujęcia, język, brak talentu samego piszącego. Decydować może też teza, z jaką poeta coś tam chciał przekazać w swoich pracach. Czasami grafomaństwo jednego lub drugiego pisarza wychodzi dopiero po latach, kiedy lokalne kółka wyznawców i wyznawczyń stracą swoją siłę, i rzeczywiście można ocenić spuściznę lokalnej gwiazdy.

Ale jest też i taka poezja – na szczęście tej jest więcej, która żyje i biegiem czasu nabiera szlachetności i smaku niczym dobre, markowe wino. Zachwyca, czasami nawet do lez wzruszenia, przyciąga, zatrzymuje i zostaje w głowie. Tak chyba właśnie jest z poezją Bronisławy Wajs – Papuszy.

Napisała tylko około 40 wierszy. Znakomita większość to „piosenki z głowy Papuszy ułożone” – czyli wiersze o jej życiu w taborze, o tęsknocie do lasu, czasami o samotności i wyobcowaniu. Tylko jeden „Krwawe lzy” ma formę poematu i jest zdecydowanie odmienny od typowej dla poetki formy.

Czym dziś zachwyca poezja Papuszy? Tym samym, co przed laty – bezpretensjonalną formą, trafną metaforą, śpiewną frazą, odrębnym spojrzeniem na przyrodę. W jej wierszach Cyganie i przyroda stanowią jedno. Cyganie oderwani od lasu, łąki, taboru to naród nieszczęśliwy. Bardzo dokładnie widać to choćby w wierszu „W Maju” gdzie Papusza pisze:

„Za Cyganami biała brzoza płacze,
mrówki w kopcach swoje małe noszą,
ptaki w zieleni wsiadają jajka

Siedzę w domu i widzę przez okno,
Jak ptak przefruwa i bije skrzydłami.
Zielony las przywabia oczy
I pachnie, że aż serca płaczą.”

Przyroda w jej wierszach stanowi nie tylko tło i komentarz do rzeczywistości przez nią opisywanej. Przyroda jest też parawanem, za którym ukrywa się same poetka i jej tragedia życiowa. Nie jest już dziś żadną tajemnicą, że pobratymcy, najbliżsi skazali ją na banicję, nieistnienie. Obwiniali ją o zdradę tajemnic klanowych, sprzedaż obyczajów. Sekowana, dotkliwie karana za winę, której nie było Papusza swój żal i smutek wpisywała w swoje wiersze. Myślę, że dlatego jej fraza do dziś porusza.

Najlepiej widać to w wierszu „Ja, biedna Cyganka”, który cały jest jedną wielką skargą na samotność, ale też zarazem oskarżeniem Cyganów o celowe nieuctwo. Jeśli przeczytać wywiady, jakich poetka udzieliła, bardzo dobrze widać tam ten problem. Papusza nie mówi o tym wprost – ale w podtekstach widać wyraźnie, że chciała się uczyć, chciała wiedzieć więcej. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Cyganie stronią od nauki. Między innymi i za to, że umiała pisać i czytać, była przecież przez nich odrzucana.

Być może dlatego jeden z wierszy poświęciła Jerzemu Ficowskiemu, swemu tłumaczowi i odkrywcy talentu. Z jednej strony jest to afirmacja nowego stylu życia – osiadłego, tak jak inni. Z drugiej natomiast żal okrutny za światem taboru, swobody. Ale też i przerażająca świadomość pogardy, jaką otoczeni byli w tamtych latach Cyganie.

Oczywiście, w przypadku Papuszy natychmiast pojawia się kwestia tłumacza – na ile Jerzy Ficowski podrasował te wiersze. Na ile są one rzeczywistym dziełem półpiśmiennej Cyganki, która coś tam sobie w głowie układała, a na ile translatorskim i redaktorskim efektem działań odkrywcy. Jerzy Ficowski dokładnie wyjaśnił, na czym polegała jego korekta. Na wyczyszczeniu niektórych wierszy z fraz niepotrzebnych, na pewnym uporządkowaniu. Główny pomysł, idea, metaforyka, melodyka tych wierszy są jej – Papuszy. Właśnie za tę bezpretensjonalność i wieloznaczność kochają jej wiersze kolejni czytelnicy. I tak chyba na długo zostanie.

Renata Ochwat



Urodziła się 30 V 1910 r. (?) w Lublinie. Czytać i pisać nauczyła się sama. Debiutowała wierszem w „Nowej Kulturze” w 1951 r. Pisała w języku cygańskim. Odkrył ją jako poetkę i jej wiersze tłumaczył Jerzy Ficowski. Bardzo dużo wierszy autorka sama zniszczyła, znanych jest najwyżej 40. Przekładane były na języki: niemiecki, angielski, francuski, hiszpański, szwedzki, włoski. W Gorzowie mieszkała od roku 1954, gdy na dobre zatrzymał się jej cygański tabor, do 1981, gdy starą i schorowaną przyjęła pod opiekę rodzina z Inowrocławia. Otrzymała Lubuską Nagrodę Kulturalną (1958), Nagrodę Kulturalną „Nadodrza” (1978), Nagrodę Gorzowską (1978). Od 1962 r. należała do ZLP. Zmarła w Inowrocławiu 8 II 1987 r. Tam została pochowana.

Tomiki wierszy w tłumaczeniu Jerzego Ficowskiego: „Pieśni Papuszy” (Wrocław 1956), „Pieśni mówione” (Łódź 1973), „Lesie, ojciec mój” (Warszawa 1990).

W maju 1996 r. Jerzy Ficowski przekazał Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie zbiór listów Papuszy oraz rękopisy jej wierszy.

W Dziale Zbiorów Specjalnych biblioteki, znajdują się również inne dokumenty i nagrania radiowe Papuszy.

Opracowania: Krystyna Kamińska, „Papusza, czyli wielka tajemnica” (Gorzów 1992), Leszek Bończuk, „Papusza, czyli wolność tajemna” (Gorzów 1996) oraz ciekawe artykuły, m. in. Bogdana J. Kunickiego „Córka ziemi leśnej” w książce „W przestrzeni tęczy”.



17 lat temu, 8 lutego zmarła najwybitniejsza cygańska poetka, ponad trzydzieści lat mieszkająca w Gorzowie.

Nieznane wiersze Papuszy

Gregory Kowalski pisał do Andrzeja Dańskiego 9 maja 1992 r. Szanowny Panie Dański, w trakcie zbierania dokumentacji dla swego filmu o Papuszy dotarłem m.in. do archiwum radia i telewizji, gdzie znalazłem dużo materiałów zawierających głos Papuszy. Materiały w sumie istotne, bo jak zrobić film o kimś już nieżyjącym, szczególnie jeśli chodzi o taką niezwykłą osobowość? Mimo to, że zgromadziłem ponad 15 godzin wywiadów z ludźmi, którzy ją znali, poznałem ją dopiero wtedy, kiedy usłyszałem jej wypowiedzi. Nieraz mówiono mi w trakcie wywiadów o jej poetyckim sposobie wypowiadania się, że szkoda było, że nikt nigdy nie nagrywał tej czystej poezji. Jednak Papusza została nagrana i w jej głosie rzeczywistość znalazłem poezję. Następujące „wiersze” są fragmentami jej spontanicznych odpowiedzi na pytania.

Moja piosenka

Moja piosenka
to jest cicha łąza
nieraz.

A w nocy spać nie mogę.
To jest piosenka moja.

* * *

Nieraz przychodzi człowiekowi
jakaś błoga chwila
o czymś marzy człowiek
o lasach o górach,
a potem znów zapomina.
Jakoś tak odrębnie żyje
od tego świata bożego.

I lasy staną Cyganami
staną te żywicowe lasy,
staną jeszcze
i oni za nami będą płakać.
A płaczą wtedy
kiedy szumią,
kiedy wiatr.

Młode lata były śliczne,
bo byliśmy w swojej prawdziwości.
Weź ptaka w klatce,
zamknij słowika,
choć tak pięknie śpiewa,
ale jemu smutno.

Ja raz widziałam niebo
śliczne
wieczorem
gwiazdy.
Mnie to coś kusiło tam,
tylko nie miałem pojęcia
nauki co toaczy.

Ja nie mogłam spać,
wprost patrzyłam,
oni spali,
ja szłam w nocy
malutka dziewczyna.
Pogłaskałam konie,
gdzieś nad wodą szłam,
o to była moja miłość.
Skały
jakieś drzewa
wszystko mi imponowało
i to zostało we mnie.

O Papuszy pisali

Ludowa, jakby sprawdzona przez wielu pisarzy jest trafność i oczywistość porównań i epitetów w najlepszych pieśniach Papuszy. Ale już nie ludowa a własna, indywidualna jest wartość emocjonalna tych pieśni, sprawdzona w innym już sensie, najdosłowniej życiem Papuszy, jej trudami, głodami, ucieczkami, jej losem jako kobiety... „Pieśń cygańska” jest utworem w całości udanym, ułożonym jakby na jednym oddechu, na jednym szluchu miłości do życia, które odchodzi.

Anna Kamińska,

Tęsknota za zaniechanym wędrowaniem poddyktowała Papuszy najpiękniejsze strofy jej pieśni. Cygańszczyzna, romantyka życia leśnych wędrowców, znana nam dotychczas z pięknych, ale dających opaczne wyobrażenie utworów poezji całego świata, po raz pierwszy odezwała się sama i mówi o sobie własnym głosem. Kiedy zimą 1951 r. przekazałem Julianowi Tuwimowi przesłaną pod moim adresem a przeznaczoną dla niego „Pieśń cygańską z Papuszy głowy ułożoną”, wraz z dosłownym przekładem, wielki poeta zachwycił się – jak mówił – tym bijącym źródłem czystej poezji. Niejeden z zawodowych literatów chętnie podpisałby się pod tym utworem, w dorobku niejednego byłby to utwór najlepszy – mówił Tuwim.

Jerzy Ficowski w książce
„Cyganie na polskich drogach”

Cała poezja Papuszy opisuje jakiś rodzaj cierpienia, które dotyka lub dotknęło Cyganów. Papusza instynktownie i podświadomie wyznacza sobie rolę rzecznika ich spraw. Jest w jej wierszach nie tylko dialog z przyrodą, której może wyzaliczyć się w pełni. Pewne wiersze adresuje bezpośrednio do ludzi. Mają formę apelu, są próbą wywołania reakcji. Te wiersze to jakby próba wywołania odmiany losu. To instynktowna, mimo niezliczonych trudności, próba ocalenia śladu osobistego i zbiorowego po Cyganach.

Czesław Sobkowiak, „Pieśń zostaje za nami”
„Nadodrze” 1988 nr 9

Wiersz dla Papuszy

Nie zapłoną ogniska w lesie z Cyganami.
Nie napiją się sarny ze smutnych cygańskich oczu
Skupiać się będzie Bronisława w izbie chłodnej zażrzybionej
A kartki nie dotknie śpiew ptaka ani zielone drzewo
Być cygańską poetką pierwszą w świecie jak powiedział Ficowski
A biec ciągle do oczu obcych ludzi którzy nie podadzą dłoni
Bo tego wymaga powaga honor i piękno
I jeszcze bać się że nadejdzie zima
I w puste kąty nawije śniegu
A były strumyki wesołe jak dziewczęta
i sowa ze swą mądrością, o zmierzchu
I pieśni Cyganów
I śmiechu nie ma ani dobrej wróżby na drogę spokojną,
Ani łaskawej ręki w którą można patrzeć na linię szczęśliwą,
Ani domów jak srebrne namioty
Ani w niebieskich kopertach listów od Tuwima.
Które by sławiły tę Lalkę co się pisać wyuczyła
Że dziś już nikt nie powie nie wiadomo po co
Umarły gwiazdy rozpadły się grzywy koni
Nie będą tańczyć ani śpiewać ani płakać zabitemu od noża
Nie zadzwięczy tabor
z którego by wybiegło czarne jak jagoda dziecko
Tylko czasem w restauracji przy dworcu jakaś starsza kobieta
Z papierosem w ustach zaczepi obiecując
Ja prawdę powiem

Czesław Sobkowiak

MOZAIKA ŻYCIA

Długo czekał Edward Dębicki na swoją książkę. Ale kiedy już napisał, to swoim patronatem objął ją dyrektor Biblioteki Narodowej Michał Jagiełło.

Książka Edwarda Dębickiego to kilkadziesiąt krótkich obrazków, zapamiętanych zdarzeń z dzieciństwa, napisanych tak, jakby autor spisywał opowieść dziecka.

– To proza literacka, oparta na rzeczywistych przeżyciach autora, którą mogą zweryfikować tylko dwie osoby: Edward i jego siostra Adela – mówi Michał Jagiełło.

Edward Dębicki w swoich wspomnieniach opowiada czasy swego dzieciństwa spędzonego w taborze rodu Krzyżanowskich na Wołyniu. Prosty, ale jak emocjonalnym językiem przypomina rzeź Cyganów w początkach wojny. Opowiada o przechowywaniu Żydów i Ukraińców w taborze. To emocjonalny obraz ucieczki przed nazistami spod znaku swastyki i tryzuba. – Edward Dębicki w swojej prozie pokazuje, że nie ma narodów złych i dobrych. U niego sprawdza się powiedzenie mojego dziadka, który zawsze powtarzał: „Pamiętaj wnuku, że są ludzie, ludziska i wredne typy” – mówił M. Jagiełło.

Książka Edwarda Dębickiego powstawała przez cztery lata. Do spisania snutyh okazji nie wspomnień namawiali autora jego przyjaciele. – Zawsze byliśmy taką egzotyczną en-

klawą, którą inni podglądali. Jedni nas się bali, inni z nami zaprzyjaźniali. To jest taki hołd złożony rodzinie i innym Cyganom – mówi autor.

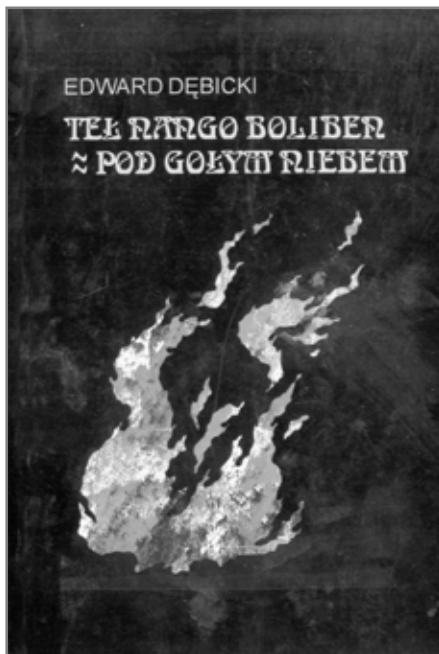
Opowieść Edwarda Dębickiego wpisuje się w szeroki nurt literatury pamiętnikarskiej, wspomnieniowej. Tyle, że od klasycznych pamiętników czy dzienników różni ją forma. Bo choć książka ma układ chronologiczny – od wczesnego dzieciństwa do zakończenia wojny, to nie chronologia jest tu najważniejsza. Liczą się zapamiętane sytuacje, przeżyte emocje, chwile radości, ale i strachu. Niebagatelną wartością tych wspomnień jest ich język – prosty, bez zbędnych przymiotników, klarowny. Narracja prowadzona jest krótkimi, nieskomplikowanymi zdaniami, tak jak mówią dzieci.

Tom wspomnień „Ptak umarłych” zilustrował znany gorzowski artysta Zbigniew Olchowik. Naturalnym uzupełnieniem wspomnień są zdjęcia z prywatnego albumu Edwarda Dębickiego. Nie trzeba więc sobie wyobrażać, jak wyglądają poszczególni bohaterowie. Wysmakowany tom wydało wydawnictwo Biblioteki Narodowej. Przedmowę do wspomnień napisał Michał Jagiełło.

Renata Ochwat

Pod gołym niebem

Na cygańską drogę gwiazda już dziś nie spada.
Na cygańskiej drodze nikt nie woła nikogo.
U cygańskiej drogi czas pozacierał ślady.
Na cygańskiej drodze wyrósł młody las.
Smutek cygańskich dróg usnął pod gołym niebem,
wiatr cały zapłakany jeszcze tam tańczy po nocach.
Świetliki ognistookie na drżących liściach się jarzą,
tam kiedyś Cyganięta chwytaly w ręce ich blask.
Nie ma cygańskiej drogi, zginęła w lasach głębokich,
nie ma cygańskiej drogi srebrzonej księżycem na nowiu.



Przepadła cygańska droga,
trawa okryła ją gęsta.
Cygańskie wozy próchnieją
pod obcym płotem.



Edward Dębicki

Urodził się w 1935 r. koło Stanisławowa. Po wojnie wędrował z cygańskim taborzem. Jako chłopiec rozpoczął karierę artystyczną w orkiestrze rodziny Wajsów – słynnych harfarzy. Po osiedleniu w Gorzowie umiejętności doskonalił w szkole muzycznej. Od wielu lat jako kompozytor, aranżer, wirtuoz – akordeonista kieruje znanym w Polsce i za granicą, założonym przez siebie, cygańskim Teatrem Muzycznym „Terno”. Inicjator i organizator Międzynarodowych Spotkań Zespołów Cygańskich „Romane Dyvesa”, prezes Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Papuszy.

Od dawna w języku romskim pisał teksty do niektórych swoich piosenek, a skomponował ich łącznie ponad 200. Spektakularny sukces kompozytorski odniósł na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w 1996 r., gdzie otrzymał Grand Prix za piosenkę „Swoją drogą idź” do tekstu Jonasza Kofy, którą śpiewała Edyta Geppert. Zdarzało mu się pisać także wiersze bardziej osobiste. Kiedyś pokazał je Jerzemu Ficowskiemu, ten je zaakceptował i przetłumaczył na język polski. Tak powstał tomik „Tel nango boliben – Pod gołym niebem” (Szczecin 1993).

Na język niemiecki wiersze te przetłumaczyła Karin Wolff. Opublikowano je w piśmie „Prom” i promowano w 1994 r. we Frankfurcie. W 2001 r. brał udział w V Festiwalu Mniejszości Narodowych i Grup Etnicznych w Gdańsku. Na billboardach reklamujących festiwal umieszczony był fragment wiersza Edwarda Dębickiego.

W 2004 roku, staraniem Biblioteki Narodowej w Warszawie, ukazała się pierwsza prozatorska książka Dębickiego pt. „Ptak umarłych”.

JAK ZOSTALIŚMY DĘBICKIMI

(Fragment powieści „Ptak umarłych”)

Latem wyjechaliśmy do Lwowa; na Zamarstynowie stał duży tabory z szczepu Lowari, rosyjskich Cyganów. Zatrzymaliśmy się przy nich. Tak było weselej i bezpieczniej. Coraz częściej mówiło się, że Rosjanie chcą zamykać granicę z Polską. Po kilku dniach ojciec dokupił jeszcze jednego konia. Któregoś razu będąc na jarmarku odnalazł Filipkę, ale bez babci, którą Filipka musiał gdzieś po drodze zostawić. Mówił, że babcia ma przyjechać do Lwowa.

Nie mieliśmy żadnych dokumentów tożsamości. Ojciec dwoił się i troił, żeby zdobyć coś z polskim nazwiskiem. Po wielkich staraniach udało mu się za parę koni kupić od Cygana, Michaja Madziarowicza, dokumenty na nazwisko Dębicki. Od tej pory moi rodzice nazywali się Weres i Franciszka Dębicy. Imiona dzieci pozostały prawdziwe, ale z ustaleniem dat urodzenia to była wielka improwizacja.

Na Zamarstynowie staliśmy około miesiąca. Wszyscy Cyganie szykowali się do wyjazdu do Polski, lecz my nie mieliśmy konia. Mama codziennie chodziła na jarmark wróżyć. Ojciec jako znawca zarabiał na faktorstwie przy koniach. My zostawialiśmy sami, tylko pod opieką Tańki. Codziennie jedliśmy razowy chleb i piliśmy świeże mleko kupowane od gospodarza. Z dnia na dzień wyglądaliśmy lepiej, zaokrąglały się nasze buzie, dostaliśmy nawet niewinnych rumieńców. Po kilku dniach ojciec kupił konia.

– Nie jest on dobry do dalekiej podróży – narzekał – ale pomału zaciągnie nas na granicę.

Kiedy byliśmy już prawie gotowi do wyjazdu, ja, Tańka i wychowanica starego Kazia Waszkiewicza, Danka, wybraliśmy się do Lwowa na bazar. Chodziliśmy od stoiska do stoiska oglądając wszystko. Jakiejś przekupce wydaliśmy się podejrzani. Jak zorientowała się, że jesteśmy Cyganami, zaczęła krzyczeć, że jesteśmy złodziejami i przyszliśmy okradać jej stragan. Natychmiast zjawiła się milicja i nie pytając o nic zabrała nas do komisariatu. Próbowaliśmy po drodze wytłumaczyć, że nie jesteśmy złodziejami i nie mieliśmy zamiaru niczego ukraść. Nie chcieli nas słuchać. Jeden tylko rzucił:

– Będziecie się tłumaczyć w komisariacie.

Gdy znaleźliśmy się już w budynku milicji, kazali nam usiąść w rogu pod ścianą na drewnianej ławce. Siedzieliśmy przestraszeni ponad pół godziny. Nikt nie interesował się nami. Jak jakiś milicjant wchodził, to patrząc na nas uśmiechał się. Pewnie z naszych przestraszonych min tak się śmiali. Wreszcie zjawił się komendant i zapytał dyżurnego:

– Co to za dzieciaki?

– To Cyganie. Chcieli coś ukraść na bazarze.

– Oj, za to zamknijemy was do ciupy – zaśmiał się.

Ja ze strachu zacząłem majtać nogami. Pod ławką stało kilka glinianych dzbanków z mlekiem dla zatrzymanych ludzi. Niechcący uderzyłem nogą w jeden z nich, dzban się rozbił i wylało się z niego całe mleko. Jak komendant to zobaczył, zaczął krzyczeć. Potem dali nam szmaty i kazali powycierać podłogę. Kiedy skończyliśmy, powiedzieli, że mamy się wynosić. Ledwie znaleźliśmy się na ulicy, zaczęliśmy uciekać jak oparzeni.

– Wsiadajmy do tramwaju – wysapała Tańka – to szybciej będziemy na tej ulicy, z której najbliższej będziemy mieli do Zamarstynowa. Wsiadliśmy do pierwszego tramwaju, który nadjechał. Pieniądże na bilety mieliśmy, ale był taki tłok, że nie mogliśmy dostać się do środka tylko staliśmy na stopniach. Nie ujechaliśmy daleko, na pierwszym przystanku zatrzymała nas kontrola i z powrotem zaprowadziła na milicję, ponieważ na stopniach nie wolno dzieciom jeździć i za jazdę bez biletów. Kiedy ten sam komendant zobaczył nas ponownie, roześmiał się i powiedział:

– O, to z was dobre ptaszki! Jeszcze nie zdążyliście zrobić kilku kroków, a już milicja z powrotem was przyprowadziła. Teraz zamknę was, aż wasi rodzice zapłacą za was karę. Dopiero wtedy was puścimy.

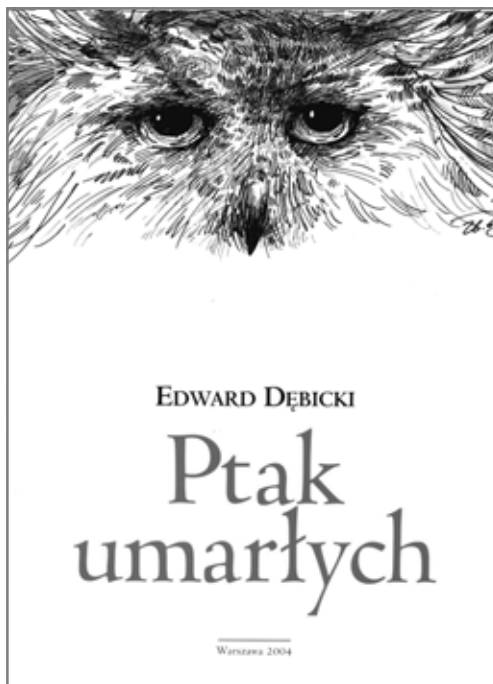
Dziewczyny zaczęły płakać. Komendant przyglądał się nam, a po chwili zapytał, czy umiemy śpiewać i tańczyć. Odpowiedzieliśmy chórem, że tak.

– To pośpiewajcie i potańczujcie – polecił.

Ja zacząłem grać na brodzie – lewy kciuk oparłem o brodę, mały lewy palec przytknąłem do prawego kciuka, a pozostałymi palcami wachlowałem, wydając przy tym dźwięki, Danka śpiewała, a Tańka tańczyła.

Po tym występie wypuścili nas. Gdy wróciliśmy do namiotów, to od rodziców też dostaliśmy burę za to, że chodzimy sami do tak dużego miasta.

Edward Dębicki



Ptaki

Co dzień do okna
przyfruwają ptaki.
Moja matka
chlebem się dzieli z nimi,
żeby nie głodowały.
Nauczyły się jak cyganięta
z jej rąk jeść.
Raz wleciały do domu,
wydziobały wszystko z talerzy
i uciekły na wolność.
Smutno się zrobiło mamie,
że nie może lecieć z nimi.
Ale przecież rano wróca,
nie zapomną o niej
ptaki leśne,
braciszkwowie nasi.

Edward Dębicki

z tomiku „Pod gołym niebem”

TOASTY

Wznoszę krople w kryształach.
 Trzymam w dłoni trunek
 brzemienny życzeniami.
 Uwalniam ptaki słów
 – siadają uśmiechem.
 Wyzwalam gwiazdy marzeń
 – srebrzą się zadumą.
 Rozrzucam cekiny życzeń,
 Nad stołem biesiadnym
 Ponad dymem ogniska
 Unosi się tęcza
 – jedwabna nić
 – nasze toasty.
 Aż po ostatnie krople
 Za tych którzy żyją w myślach
 Za umarłych
 – za spokojną dusz wędrowną.

* * *

Z lasu wyszliśmy w prawa nowe
 – obcemu wierzyć bogu.
 A nam brzozowych
 świętyń szkoda
 Żal nam idiomów leśnej mowy.

Śerir i beton – prawa miasta
 I starych pieśni zamilczenie.
 Kryształem soli wzrok porasta,
 Jak wiara w zwierząt wytępienie.

Na ścianie stare skrzypce wiszą,
 Smutne jak Chrystus
 z bożej męki.
 Osiadłe prawa w łańcuch liczę...

* * *

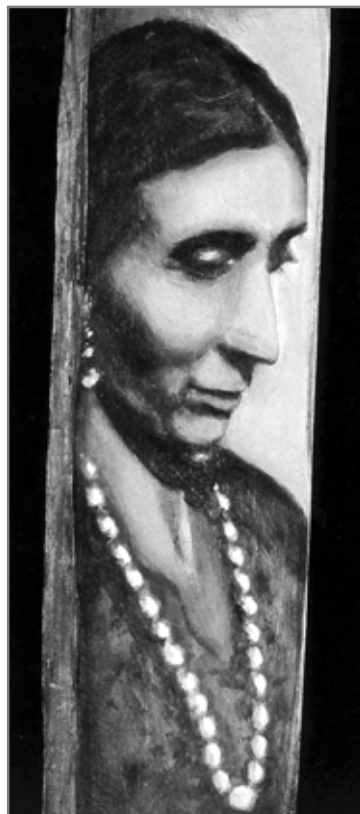
Nie zabrałem znad
 Gangesu słońca.
 Nie uniosłem szeptu palm.
 Lecz zabrałem pieśń.
 Zapamiętałem taniec.
 Zaczarowany w struny Ganges.
 Po twarzy świata potoczyły się
 łzy – nasze życie.
 Gdy zapomnę kolory tęczy,
 Słońce, księżyc
 i gwiazdy zamilczą,
 Pozostanie mi niezmiennie
 na wieki – manusz.
 A manusz znaczy człowiek.
 Dlatego nie zabijam konia,
 Ani psa, co mi służy.
 Bo manusz to znaczy człowiek.

PAPUSZA

To ten sam park
 i rzeczka ta sama.
 Z mgły nad stawem wyłania się.
 Płynie nad żwirem ścieżek,
 bo przecież umarli
 nie dotykają ziemi.
 Gniewnie rzuca za siebie
 papierowe śmieci.
 I wzdycha...

Już nikt nie oczekuje jej wróżby.
 A tamte dwie panisie
 pchające wózek,
 mówią po cygańsku
 i wręczają łaskawy
 grosik
 Inianowłosemu dziecku.
 Pogładziła pisklęta w gnieździe
 i znajomą gołębicę.
 Pocałowała wiatrorudą
 wiewiórkę.
 Dlaczego się smucisz Ciotko?
 To Wasze ukochane miasto.
 To przecież Wasz zielono
 złoty Gorzów.
 I pomnik tu macie.
 „Mam i jak dawniej wdeptują
 mnie w ziemię”
 Odpowiedziała Papusza
 – cygański Norwid.

Wiatr rzucił na wodę liść
 jak złoty kolczyk.



Karol Gierliński-Parno

urodził się w 1938 roku w Poznaniu. Studiował rzeźbę w WSSP w Poznaniu i traktuje rzeźbiarstwo w drewnie jako podstawową dziedzinę wypowiedzi artystycznej. Od 1968 roku związany był z Kołem Korespondencyjnym Młodych Pisarzy, debiutował w 1968 r. wierszem „Deszcz” na łamach tygodnika „Nowa Wieś”. Miał liczne publikacje w prasie literackiej i w almanachach. Należał do grupy literackiej „Wiry”. Notkę o nim („były szef cygańskiego taboru, fizyk, nauczyciel i poeta”) oraz wiersz „Mamiori” zamieścił Piotr Kuncewicz w książce „Agonia i nadzieja. Poezja polska od 1956 r.” t. III.

Jest Cyganem, członkiem Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Bronisławy Wajs-Papuszy w Gorzowie. Pisze po polsku.

W 2001 roku ukazał się jego debiutanci tomik poetycki pt. „Xaratuno thuv – Odległy ogień”.

W tym samym roku odbyły się dwa spotkania Karola Parno-Gierlińskiego we Frankfurcie n.O. Jego wiersze na język niemiecki przetłumaczyła Karin Wolff.

O „Xaratuno thuv – Odległy ogień”

Wiersze zamieszczone w tomiku charakteryzuje oszczędność słowa, szacunek dla niego, co w tym wypadku znaczy dla cygańskiej poezji. (...) W wierszach Parno-Gierlińskiego wers często równa się zdaniu, ważny jest dźwięk i rytm. Mówią one o kulturze, która wygasa, jest jak dym z coraz odleglejszych ognisk. W wierszu „Zatańcz Phabuj” jest jeszcze złudzenie, że „dom o kamiennych ścianach zdrzy jak płótno namiotu”. Cyganie, bohaterowie wierszy Gierlińskiego, oderwani od natury, z którą zawsze byli zrośnięci, muszą być samotni. „Jesteśmy łzami na twarzy” – pisze o swoim narodzie poeta. Skrzypce wiszące w betonowym mieszkaniu są jak obraz Męki Pańskiej. Inny wiersz kończy prośbą: „W godzinę śmierci racz las wrócić Panie”.

Bogdan Twardochleb

„Kurier Szczeciński” z 13 XII 2001 r.

Piszcie książki!

Był w Polsce po raz dziesiąty, ale w Gorzowie po raz pierwszy. Do Polski zaprosiło Williama Whortona wydawnictwo „Rebis”, a do Gorzowa Daniela Puczyłowski, właściciel księgarni „Daniel”.

Jest najbardziej popularnym pisarzem w Polsce. Jego książki od lat plasują się na pierwszych miejscach list bestsellerów. W ubiegłym roku powieść „Rubio” zajęła trzecie miejsce.

12 maja do teatru na spotkanie z czytelnikami przyjechał z tylko kilkuminutowym opóźnieniem, ponieważ przedłużyło się podpisywanie książek w księgarni. Licznie zgromadzona publiczność, przeważnie młoda, cierpliwie czekała. Na scenie usiedli: mocno starszy pisarz – William Whorton, jego żona Rosemarie, syn William, tłumacz Krzysztof Fordoński oraz przedstawiciel firmy „Rebis”. Od razu, bez zbędnych wstępów, poproszono o zadawanie pytań. Pisarz odpowiadał bezpośrednio po zadaniu. Mówił z pewnym trudem, dość niewyraźnie, ponieważ niedawno przeszedł operację głowy. Ale bardzo logicznie, z pełnym zaangażowaniem w udzielenie wyczerpującej odpowiedzi. Pytania i odpowiedzi tłumaczył Krzysztof Fordoński, autor niedawno wydanej książki „Bert” o pisarzu i jego twórczości.



Naprawdę nazywa się Albert du Aime. Tym nazwiskiem podpisuje swoje obrazy. Powieści zaczął pisać w 53 roku życia i podpisuje je nazwiskiem panieńskim matki.

Jego talent narratorski odkryła siostra. W dzieciństwie sypiali w jednym pokoju, a on chciał, żeby wyniosła się do innego. Zaczął jej opowiadać przed snem straszne historie, a ona... domagała się następnych. Pierwsze utwory układał zapisując plan ołówkiem na kartce, potem opowiadał do magnetofonu, przepisywał, czytał głośno, znów zmieniał i dopiero drugą redakcję uznawał za godną pokazania najpierw żonie i dzieciom, a potem czytelnikom. Mając takie doświadczenie mógł sobie pozwolić na uproszczenie pracy pisząc książkę od razu najpierw na maszynie, później na komputerze. Teraz ma kłopoty z widzeniem, a i sprawność palców już nie taka, więc wrócił do nagrywania, pozostawiając zaufanej osobie spisanie z taśmy. Ma w planie napisanie książki o swojej amerykańskiej babce, która była ostoją całej rodziny.

Od lat mieszka w Paryżu, ma wyłącznie paszport amerykański, czuje się obywatelem świata, ale o amerykańskich korzeniach, bo wzrastał w amerykańskiej kulturze. Najbardziej lubi przebywać w starym młynie w Burgundii, tym samym, w którym umieścił akcję swojej powieści „Wieści”. Żałuje bardzo, że żona nie kocha tego miejsca, ale rozumie ją, bo tam jest bardzo zimno.

Zaczął pisać podczas wojny, na froncie, gdy wydawało się, że świat zaraz przestanie istnieć. Na karteluzkach zapisywał zdarzenia, potem krótkie opowiadania, by oderwać się od rzeczywistości. Ale gdy po zranieniu przebywał w szpitalu, ktoś wyrzucił niepotrzebne kartki. Tam zrozumiał, że pisanie jest dla niego ważne, ale przez wiele lat nie wracał do literatury.

Pierwszą powieścią Whortona był „Tato”, prosta opowieść o rodzinie.

– Pisząc ją odkrywałem wiedzę o sobie i o mojej rodzinie, o związkach nas łączących. Odkryłem, że jestem szczęściarzem, bo żyję mimo tragicznych zdarzeń w okresie wojny, bo urodziłem się w Ameryce i wychowałem w wolnym kraju, bo mam kochającą się rodzinę. Każdego zachęcam do napisania książki o sobie. Przemyslenie takiej książki i jej napisanie naprawdę ogromnie wzbogaca człowieka.

Najbardziej znana jest jego powieść „Ptasiak” oraz film zrobiony na jej podstawie. Autor nie krył niezadowolenia z filmu: – Ja napisałem powieść o ptakach i ludziach, a reżyser zrobił z tego film przeciwko wojnie w Wietnamie. Zgadzam się z protestem przeciwko wojnie,



ale proszę do tego nie mieszać mojego „Ptasiaka”.

Wiele pytań dotyczyło malarstwa. A jedno: – Czy jest Pan szczęśliwszy gdy pisze, czy gdy maluje?

Whorton odpowiedział: – Trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć. Najważniejsze to realizować samego siebie, a w jaki sposób, w jakiej dziedzinie sztuki, przy pomocy jakich środków – to indywidualna decyzja każdego człowieka. Bo każdy ma jakiś talent, tylko najczęściej nie potrafi go z siebie wydobyć, albo zbyt wcześnie ten talent w nim stłamszono. Największe szczęście to dla mnie koherentna spójność myśli i uczuć oraz umiejętność przekazania tego drugiemu człowiekowi. Ja piszę swoją duszą i to mi daje pełną satysfakcję. A jeśli podoba się ludziom, jeśli akceptują moje książki, jestem podwójnie szczęśliwy.

– Jaka jest więc Pana recepta na szczęście?

– Bardzo prosta: kierowanie się swoim światem odczuć. To najlepsza droga do drugiego człowieka. Piszcie książki zgodnie z tą dewizą a na pewno da wam to zadowolenie. Piszcie, koniecznie piszcie. Możliwość pisania to wielki szczęście człowieka.

Krystyna Kamińska

*Motto: Było ich dwóch,
Jeden trzeźwiejszy od drugiego.*

Lis

Ci człowieczkowie spotykali się prawie codziennie. Tym razem jeden prowadził psa na smyczy, drugi ciągnął na sznurku pustą butelkę od piwa.

– Się masz! – powiedział Pierwszy – co tam ciagniesz za sobą?

– To też mój pies obróża – odpowiedział Drugi.

– Od czego ciebie obroni? – spytał Pierwszy.

– Od kaca. Pożycz dwa złote.

– Na co?

– Na sok marchewkowy.

– Głupota! Sok marchewkowy kosztuje, jak Boga kocham – kupowałem wczoraj w „Berti” – dwa sześćdziesiąt!

– O, murwa! Kapitaliści nikogo nie uszanują.

– Życie jest bezlitosne... Ale czasem może sprawić przyjemne niespodzianki. Niniejszym cytuję, nie wiem kogo: „Szedł raz żebrak chleba prosić/ Wszczęła mu się złość podnosić/ Od chałupy do chałupy/ Zamiast już chleba prosił zupy/ Aż się jedna zlitowała/ Zamiast zupy dupy dała”. Koniec cytatu. A nadużyłem tylu strun głosowych, żeby ci, chomąto miejskie wytłumaczyć, że należałoby pójść do mego ogródka. Nie byłeś? To tylko parę tysięcy kroków. Tam chyba marchewka się zachowała, mimo tych niespodziewanych przymrozków. A mam tam kurnik z dziesięcioma albo i więcej kurczakami, tak że będziemy mieli soczek i zagrychę.

– Ty chyba masz zajoba. Jak zrobisz soczek ze zmarzniętej marchwi i zagrychę z żywego kurczaka?

– Ty, magister, ja magister, bardzo lubię twoja „szwister”... to tak na marginesie. Przecież mam tarke i wyciskacz, na którym można wycisnąć prawie wszystko, a soczków od groma. Mam też tak zwanego grilla, na którym można usmażyć każdego kurczaka, i nie tylko to, ale także piec, udający czasem elegancko – kominek. A żeby całkiem ciebie zaskoczyć, drogi kolego, to dodam, że w wiosce naprzeciwko, zwanej Sam-tocz-no, mieszka sąsiad Robespierski, który szybko może zamienić kurczaki na „absolwentów”.

– Jakich, do murwy nędzy, „absolwentów”?

– Nie żyłeś chłopie w wiosce, to jesteś kompletny wsiór. „Absolwent” to jest coś takiego, że po połowce będziesz mieć absolwentnie wszystko z głowy.

– No to taryfą?

– A masz ciulu szmal?

– Gdybym miał, to nie prosiłbym o dwa złote.

– To się zamknij i „per pedes”. Parę kilosów z hakiem.

– A hak duży?

– Cicho! Zależy od wyobraźni i możliwości.

I tak szli dwie godziny. Pierwszego ciągnął pies, Drugi ciągnął butelkę na sznurku.

– Po diabła ją ciagniesz? – przerwał wreszcie milczeniu Pierwszy.

– Czterdzieści albo i czterdzieści pięć groszy. Zależy gdzie trafisz.

– Zaraz będzie trochę błota. Do butelki może się coś wrokendrolić i będzie cięższa. Warto?

– Moja butelka, moja sprawa.

– No, to już jesteśmy w domu – oznajmia Pierwszy. Zabłocony, zziązany, spocony. Pies jednak cieszył się przed wejściem jak przed domkiem z Chatki Puchatka.

– Popatrz, nawet nie podpieprzyli narzędzi. Podpał w kominku, a ja pójde wykopać marchew. Dasz radę?

– Nie ma sprawy. Nie stłucz tylko mojej butelki.

– Przestań z tą butelką! Mam tu tyle pustostoi, że można byłoby z nich drugi domek wybudować. No, gdyby jeszcze trochę przylać.

– To jest twój domek, a moja butelka jest moja, i odchrzań się od niej... A ten twój Robespierski to jakiś rzetelny człowiek?

– Jak zaczniesz się zastanawiać nad czyjąkolwiek rzetelnością, to zaczynij od siebie – odpowiedział Pierwszy.

– ... Już.

– Zastanowiłeś się? I jak wyszło?

– Statystycznie dobrze. Każdy kiedyś tam komuś świnie podłożył, może nawet nieumyślnie, jak powiadają nasi odrodzeni policjanci... A ty gospodarzu, bierz swoją szuflę i zachrzaniaj szukać marchewki, bo mnie jednak trochę suszy. Tylko zostaw zapalki.

– Nie mam zapalek. Jeśli zauważyłeś – od rana jestem niepalący.

– Ty! Mając taką posiadłość! On nie ma zapalek. Ludu, mój ludu! To jak rozpalasz to swoje kominkowe królestwo, grilla i podgrzewasz kurnik, ćwoku magisterski?

– Nie wrzeszcz!... Cytuję: „Głupi jestem jak noga stołowa/ Głupi jestem ohydnie i płaski/ Aż nie spłynie na mą biedną głowę/ Płomień – albo promień, cholera go wie – twojej o poezjo łaski”. Koniec cytatu... I właśnie coś spłynęło. Z tamtej strony tamtego dużego kamienia leży zapalniczka piezoelektryczna.

– Powinieneś nazywać się Cytologowicz. Jaka zapalniczka?

– Każdy kiedyś kogoś cytuje, bo podobno wszystkie słowa zostały już wypowiedziane. A zapalniczka piezoelektryczna? Pizy nigdy nie jadłeś albo nie widziałeś?

– Elektrycznej nie jadłem. Widzieć to może i widziałem.

– Jaki bałwan dał ci to magisterium i za ile? Przy pomocy tej piezo to każdy bałwan, nawet jeśli nie ma gazu, może przypalić wąsy i rozniecić ogień. Daje zwyczajną iskrę.

– Przecież nie mam wąsów.

– To znajdziesz pod tyłkiem coś suchego a łatwopalnego. A teraz cześć pracy.

– Ja lecę do szuflki i marchewki.

Przychodzi Pierwszy z ogródka z pełnym koszem marchewki. Ogień buzuje na kominku. Pies w pobliżu wygrzewa skórę, butelka leży na środku podłogi. Ciepło, przytulnie...

– Teraz ty – powiada Pierwszy – oskrobiesz marchewki, ja potarkuję i wycisnę sok, żeby ciebie szlag nie trafił z przepracowania i skoczmy do kurnika. Na wypieczkę ze dwie sztuki, dla Absolwenta i na „absolwenta” – ze trzy.

– Na „absolwenta” czy dla absolwenta? Bo czegoś tu nie kapuję.

– Nie znasz się na filologii, drogi intelektualisto. Ja tu przypelzam raz albo dwa razy w tygodniu od lat. Czekaj, Alzheimer... chyba od dwudziestu trzech. Robespierski mieszka tu od ośmiu miesięcy. Zrobił magisterium z chemii, ale nie miał komputera i nikt go gołego nie chciał przyjąć do pracy. Jak pracował na konkursowym to mu jakieś hakerstwo wyskakiwało. A to amerykański budżet antyrakietowy, a to kaliningradzkie główce superjądrowe, a to czyjeś miliardy, nie powiem czyje, w luksemburskim banku. Dupa zimna, won! To przypomniał sobie ruskie powiedzenie, bo jeszcze kończył studia, kiedy rosyjski był obowiązkowy: „Trudno żyć bez raboty, no my nie boimsia trudnością”. Potem przyszło mu do głowy słynne powiedzenie słynnego Skoczka przez plotki: „Trzeba wziąć sprawę w swoje ręce”. Korzystając



15 czerwca 2004 r. nestor gorzowskich pisarzy, WITOLD NIEDŹWIECKI skończył 75 lat. W tymże roku obchodzi 50-lecie pracy twórczej. Redakcja „Pegaza Lubuskiego” w imieniu jego wszystkich piszących kolegów składa mu z tej okazji serdeczne gratulacje, a czytelnikom prezentuje zabawną humoreskę i fotografię usmiechniętego Jubilata.

z jego przykładu wynajął od sołtysa parę klitek i dostał zezwolenie na działalność gospodarczą. To znaczy na produkcję albo i sprzedaż „absolwenta”. Oczywiście z pewnym ryzykiem, ponieważ mógłby mu grozić proces ze strony firmy „Wszystko albo nic”, która podobno zaklepała, znaczy opatentowała nazwę „absolwent” na jakiś tam napój. Ale, moim zdaniem, Robespierski łatwo się z tego wywinie, bo on nie przyklepia nalepek na butelce, VAT jego mać, tylko pisze na zwykłej naklejce długopisem „ABSOLWENT” i pod tym podpisuje się na papierze toaletowym własnym nazwiskiem. Jest absolwentem? Jest. Nazywa się Robespierski? Oczywiście. To kto mu może skoczyć? Jaki kaczy pierdziel?... A teraz po jednym i do roboty.

– Po jakim jednym?

– Po marchewkowym.

– Cholera. Do jakiej roboty?

– O, kuma! Kurnik. Trzeba zamienić z absolwentem co należy na „absolwenta”.

– Sam nie możesz pójść do kurnika? Ja nie znoszę krwi.

– Jaka krew? Za główkę i do kosza. A sam nie dam rady z taką ilością, bo dwa do grillowego a ze trzy dla Absolwenta. Poszli. Butelka zasznurowana została na daczę, pies obrońca nie wiadomo dlaczego, uciekł spod kurnika. Potem był koszmar. Pierwszy otworzył kłódkę kurnika a tam fruwało tylko pierze, podnoszące się także z klepiska, z każdym krokiem i zgrzytały pod podeszwami resztki cienkich kości.

– Złodziej! Bandyta! – krzyknął Pierwszy.

– Co się do cholery – ostupiał Drugi.

– Bessa na gieldzie, psia kość. Zaraz będziemy wiedzieli. Drzwi zamknięte, ale są utajone „janosiki”. Taki podkopywacz hrabia Monte Christo... Czytałeś?... Turkucie podjadki, łasice i różni podobni. Zaraz się przekonamy.

Szli posuwając się noga za nogą, ale i tak puchowy śnieg wylatywał pod dach, zaklejając im przy tym oczy.

– Tu wieje – powiedział Drugi. – Czarna dziura w ścianie.

– A co tu, kurdę, leży? Bydlę jakieś?

– O ja cię fanzolę. Daj rękawicę.

– Skąd ci wezmę? Gdzie je trzymasz?

– Nie ważne... Byle jaką szmatę, jak zobaczysz.

To jest lis, jak skurczybyk. Wtrądził wszystkie moje kurczaki i jeszcze, mać jego porządna, zdechł z przejedzenia! O mój nieszczęśliwy znaku zodiaku!...

– Jaki?

– Cicho! Taki jest jaki jest. Podobnie wpływa.

Siedzieli kilka minut na klepisku pokrytym pierzem, przy zdechłym lisie.

– Gdybyśmy byli Chińczykami, to byśmy tego chytrusa zgrillowali. Podobno da się całkiem schrupać. Wiesz co? Nie wiesz. Skocz do daczę po soczek marchwiowy. Podobno działa dobrze na szare komórki. A z tej komórki to zaraz wyjdziemy i pójdziemy do Absolwenta. Za lisa.

– Za lisa? Będziemy wlec bydlaka? Zbyt ciężki. Niech sam przyjdzie i oceni ile jest wart „absolwent”.

Było około stu metrów. Sucho, przejście przez drogę szutrową bez żadnego ruchu. Absolwent był sam za miniaturowym barakiem.

– Cześć panom magistróm – powitał wchodzących. – Jak leci? Jest parę kurczaków?

– Cześć! Na wstępie muszę ci przedstawić moją tragedię... Aha, ta tragedia... nie, wróć... To mój kumpel, też magister, a może i doktor wielu tam... czy nawet docent.

– Nie ma sprawy. Wygląda na profesora nadzwyczajnego, ale do centa go dziewice z forsy obrały... Dobra. Jam jest ofiara przemian albo vice versa. Na co dzień jestem Absolwent, na dzisiaj mogę być Trzeci. A teraz, po prezentacji, nie masz kurczaków? To dawaj tę tragedię.

– No to było tak. Wycisnęliśmy sok marchwiowy, bo coś giliło docenta, rozpaliliśmy w piecu, no ciul, niech będzie w kominku i poszliśmy po kurczaki. A tam nie tylko Gomora, ale i Sodoma. Wszystkie kurczaki skonsumowane. Nawet kości nie widać, a pierze fruwa pod sufitem. A w ścianie czarna dziura.

– To jak gdybym po was rozpoznawał, mianowani docenci. Gadaj dalej, jeśli masz ochotę!

– A tu, ten tu docent, potknął się o jakieś bydlę, leżące martwym bykiem. Oczywiście trochę, patrzymy, lis ogromniasty. Pomyślałem, że

lis, który zeżarł prawie dwadzieścia kurczaków, może być u ciebie wart kilka krów.

– Jakie krowy – ocknął się Drugi – lis to lis, a jaka jest krowa każdy widzi. Jest może dużo większa i bardziej jadalna, ale aktualnie może być wściekła.

– Cicho, tumanie. Lis też mógł być wściekły. A jaka jest krowa, to już Absolwent wie.

– Lisy dziś nie chodzą – powiedział Absolwent. A jak się wrokendrolił do kurnika, panowie magistrówie, pardon, docenci – to zaraz wam to wyczłowieczę. Zacznę od tego, że lis to zwyczajny lis chytrus. Damy przestały nosić muffki, etole, futra, nie mówiąc już o majtkach. „Zieloni” – obrońcy, taka ich hipokrytyczna polityka. Człowiek kobiecie nierówny... To pójdźmy do tego waszego liska z „krówką”. Kurczaków nie macie, to wezmę chociaż kilka parówek. Robione wprawdzie z byle czego, ale dowędzone po zbóju. Pójdziemy najpierw do kurnika? Co?

– Nie zamykasz drzwi? – zwrócił uwagę Drugi.

– Kiego grzyba – powiedział Absolwent Rosberspierski Trzeci. Jeśli zamknę, to ktoś może zechce je wyłamać. A otwarte po co ma wyłamywać?

Poszli do kurnika. Piór kurzych od groma. Puch nie tylko przylegający do ścian, ale także unoszący się pod sufitem.

– A gdzie ten lis? – zapytał przytomnie Absolwent.

– No przecież, psia jego morda, gdzie tu leżał – odrzekł Pierwszy.

– Kopnąłem go tu, przy ścianie – powiada Drugi. – Tu koło czarnej dziury.

– I miej tu daczę z kurnikiem – żałośnie powiedział Pierwszy. – Tylko puch i piórka. Albo vice versa.

– A wiecie co? – powiada Absolwent – Mnie i tak prawdopodobnie skomorniczą. Ja to chrzańię. Macie ogień w tym kurkokominku, dotąd ten chlew jakoś się nie spalił, to przyprowadzę jeszcze ze dwie „krowy”, kilka plasterków salami i possimy sobie przy intelektualnej gadce.

– Co possimy? – spytał Drugi.

– Cycki wścieklej krowy. A wy tymczasem przygrilcie te parówki.

– Zaskoczyło? Po jednym gwincie i do roboty – mówi Absolwent... A tam leżał mordka podobna do lisiej i całkiem chytra.

– Do jakiej znowu roboty? – pyta Drugi.

– Tylko praca leczy kaca. Dołoży do ognia, wydoi pół krowy i sok marchwiowy, a potem soczek krowi albo vice versa.

– O, mać twoja porządna!! – wrzasnął Pierwszy. – Lis!

– O, jak cię kocham – powiedział Absolwent, pociągając z gwinta następnego „absolwenta”. – To biały lis. Dajcie kieliszek soku marchewkowego i kawałek parówki.

– Parówki? Dla kogo?

– No, dla lisa – mówi Absolwent. – On weźmie.

– Przecież tu nie ma żadnego lisa – stwierdza Drugi.

– Ja tu jestem tylko kilka miesięcy, ale co wiem to wiem. Lis to lis. Rudy, czerwony, czarny czy biały. Każdy weźmie. To ja go oswoję. Ja go dostrzegam Jasne?

– I co z nim zrobisz? – spytał półprzytomnie Pierwszy.

– Cesarza w moim senacie... albo odwrotnie.

– Ale lisa tu nie ma. Chyba odżył po kurczakach ekologicznych i spieprzył do lisiej nory. A ta biała główka to przecież biała parówka. I nie jesteśmy w kurniku, tylko w daczę.

– No to fajnie. Po jednym „absolwencie”, siusiu, paciorek i spać... Pojutrze mnie już tu nie będzie. Przepisałem co trzeba na babcię. A ja tam będę pracował na czarno. Uznają mnie za kompletnego bankruta... Upadek firmy, komornik się może dokomomiczyć do tych pustych budek, ostatnie „absolwenty” zaraz skończymy. Tutaj gdzieś się prześpię. Cześć pracy zleconej – zakończył tyradę Absolwent Trzeci.

I wtedy pies obrońca zaczął szczekać, pusta butelka na sznurku potoczyła się po podłodze objając nogi stołków, co całą Trójkę jak gdyby zestresowało. Robespierski był jak gdyby najbardziej opanowany.

– Cholera. Może to rzeczywiście lis wrócił? Zsunął się z krzeselka, położył się na dywaniku w pobliżu dogasającego kominka i usnął.

Pies mu buzię lizał. Pierwszy i Drugi spalili byle jak. Dymokraci.

Barbara Trawińska**Requiem dla
Czesława Miłosza**

deszcz płacze nad śmiercią
poety
co miłował swoje wiersze
jak piękno w kobietach

na jubilerską szalę kładł
słowa, barwy i formę
doskonale potrzęsając
zgniłym światem

z cierpliwością, Syzyfa wtoczył
talent na Olimp
– stamtąd rzucał gromy
za zniewolenie
i krzywdę człowieka

zapłacił wygnaniem i smak
chleba
poznał na obu półkulach

sam sobie był sterem
i żeglarzem
rafy Odyseusza starannie omijał
ale wiedza i wielkość
niosły zwątpienie
z wiarą czy bez niej wkraczać
w tamtą przestrzeń
i wiara zwyciężyła

odszedł
zostawiając w skarbnicy poezji
jedno z najpiękniejszych
przełożeń Pisma
i testament w kilku językach
– wiersze dla swoich przyjaciół

pożegnali go na Skałce
daleko od Szetejni nad Niewiażą

deszcz zapłakał
nad losem
poety

Odchodzą...

Odchodzą,
tyle śmierci wokół
jedna za drugą
zbudziły mnie z letargu

zrzucana
z wysokich schodów
żyłam jak niebyła

odchodzą sławy
muzyk, bard, filozof, poeta
byłam z nimi blisko
a teraz ich nie ma
śmierć dotknęła mojej skóry

i tego co pod skórą,
dziwnie pusto na świecie
bez poezji, muzyki, śpiewu

**Teresa****Wilczyk – Surmacz**

Relacja korespondenta z Iraku

**Dowiedz się
pierwszy**

Radku radku
czy mnie słyszysz

Wojna
reality show
obrazki pierwszej klasy
szał bogatych i znudzonych
Amerykanin uśmiecha się
do mnie
przez szklane oko świata
częstuje mnie konserwą
i czekoladą z plecaka
ma gest

Mam wrażenie że kiedyś już
to było
Papież ma twarz Chrystusa
irackie dziecko rozpostarte
na krzyżu ziemi
Powoli rozpoczyna się
koniec świata

Radku radku
czy mnie słyszysz

Ropa płonie
Wojska przemierzają pustynią
napotykać na opór
czekamy na główne uderzenie

Pierwsze ofiary
można policzyć na palcach
Czy to był wypadek
czy tylko śmierć od broni

Rakiety spadają jak gwiazdy
Tańczy niebo rozedrgane kulami
kankana
Bezwstydne

Radku radku
Czy mnie słyszysz

Radku radku

Marek Grewling**W Wielki Czwartek**

To się stało
w Wielki Czwartek
(tumany kurzu w Jeruzalem
zniekształciły pamięć papirusów)

spoza murów miasta
święta zgiełk
odwracał uwagę pilnych słuchaczy
już sam skwarny dzień
zwiastował udrękę
(a do tego kłopot
z osłem domem i Judaszem)

więc wieczera i
czyńcie na moją pamiątkę...

zdziwienie?

żadna powieka nie drgnęła
nie rozumieli transcendencji
daleko im było
do Akwinaty i Dunsza Szkota

po prostu jedli i pili mali
spadkobiercy Wielkiego
Przymierza

Irena Zielińska

* * *

Z pętelka progu
zaplątana,
w wiecznym pobycie
idę
przed sobą

do nóg przywiązany most
prowadzi mnie
na drugą stronę
niewidzenia

chwila żalu przykuta
do dna czasu
wyjęta z własnego życiorysu
skamle smutkiem
wszystkich spojrzeń
zbitego za nic psa
przeszczekującego na wylot
księżyc

i to jest ta
przedostatnia
zaledwie chwila
zanim zdążę
wyplątać
się
z istnienia

Roman Habdas

z cyklu

Zalew Bledzewski*Stachowi*

Wymyśliłeś czerwiec
 pełen wiosłowania
 i zwinąłeś żagle
 pod niebo Florydy
 rozpląszczonej płazami

a ja
 popłynąłem ku słońcu
 zawieszonemu nad „Heidemile”
 nad żagonami podwodnej sałaty
 poprzątkanej karminem
 krasnopiórczych płetw

nie spotykałem drobnołuskich
 okoni
 zbrązowiłem skórę

dobijając do brzegu
 przerażona jaszczurka
 zaszeleściła krepą
 zeszlórocznych liści

* * *

Samotny z wyboru
 nie znaczy że sam
 schowany pod daszkiem czapki
 obłoków zatoki obławiam

jeszcze głęboko do zmroku
 jeszcze wysoko
 dzień płynie
 kotwica haczy o słońce

szarówką, zatańczą, bolenie
 kroplami roziskrzają niebo
 księżyc wypłynie znad sosen
 czerwcową rozśpiewa się noc

* * *

Coraz wyżej z nocy na noc
 coraz pełniejszy na gębie
 kostropatej
 stary kawaler wśród gwiazd

zakreślił zimnokrwistym w głowach
 aż pogubiły apetyt
 całymi ławicami
 poszczą

odwagi w żadnej złamania przykazu
 przykazania natury

... ludziom przychodzi to łatwiej

Beata Igielska**Nie igra się
z bogami**

tysiące nitek
 zdeptanych przez Atenę
 i łzy Arachne
 i jej trup
 nie zniesławiły córki Zeusa

fauna wzbogaciła się
 o nowy gatunek pająka
 a ludzkość o kolejną fobię

odarty ze skóry
 złupiony z godności
 wyjący z bólu Marsjasz
 nie przyemił sławy Apolla

badacze kultury
 mają temat do dysput
 o istocie sztuki
 i dążeniu do doskonałości

Nemezis nie śpi
 czuwa nad światem
 z wyjątkiem chwil
 w których ma wychodne

**Ludwik Lipnicki**

* * *

Piekła czy raj
 – czego w nas więcej?
 My odejdziemy a miasto zostanie
 na rękach wniesiemy
 do świątyń Mesjasza,
 lecz gdy wielkość jego
 poświadczyc nam przyjdzie
 – wydrwimy i wysmiejemy:
 jakżesz on wielkim być może,
 skoro spomiędzy nas wyszedł
 i tymiż rękoma, drżącymi
 ze strachu o utratę namiastek,
 na osąd i sąd wydamy
 a Rzymian zawsze znajdziemy,
 by ich ustami wyrok ogłosić
 i ich rękoma ukrzyżujemy.
 My sprawiedliwi, co łatwiej nam
 łotra uwolnić
 niżli sprawiedliwego,
 sprawiedliwego łatwiej skazać
 aniżeli łotra
 Czego w nas więcej

Wincenty**Zdzitowiecki****Pożegnanie lata**

noc dziurawym kapeluszem
 przykryła ziemię
 pachniały słońca na zielonych
 łodygach
 o świcie odleciały ptaki unosząc
 w dziobach lato

Stanisława Plewińska**Droga**

Nie przystawaj
 Pomyśl
 Ile już dróg
 Za Tobą
 A każda z nich
 Wyblakła
 Jak kartka papieru

Chcesz przywołać
 Nieważne
 Nic nie wróci
 Idź, bo dziś
 Odejdzie jak tamta droga.

Marek Kierus**W ogrodach**

W ogrodach stare kobiety
 nagięte do zielska
 drzewa odarte z kory

Dłońmi rzeźbią zieleni
 siwe figury
 z czerni i soli

Tkliwie i w ciszy
 przemawiają do roślin
 chuchają na liście ostrożnie
 by z nich tęczy nie strącić

Między grzędami
 kwiatów z marzeń wyciętych
 wydeptują ścieżki ostatnie

Stare kobiety
 nie ocierają łez
 otwierają oczy
 wysuszonej ziemi

Czuję się wolnym człowiekiem

Z poetą i historykiem dr Zygmuntem Kowalczykiem rozmawiał Ireneusz K. Szmidt:

Przez kilka tygodni sierpnia, na antenie Radia Zachód w wieczornym cyklu „Poetycka książka miesiąca” mieliśmy sposobność słuchać Twoich wierszy z nowego tomiku, który już jest w drodze do czytelnika. Nadałeś mi wielce znaczący tytuł, zważywszy że niedawno podjąłeś nietławą przecież decyzję opuszczenia na zawsze stanu duchownego...

Zygmunt Kowalczyk: ... „Tamta wina”. Wydany przez warszawskie wydawnictwo STUDIO EMKA na półki księgarskie trafi we wrześniu. Są to twory, w których zawarłem swe ostatnie przemyślenia na temat człowieka, naszego miejsca w świecie, pytania o determinizm, próbę uchwycenia naszego „być”, kruchości wszelkiego bytu i życia.

– **Wiem, że nie jest to twoja jedyna książka wydana w tym roku ...**

– Właśnie zeszła z maszyn drukarskich moja książka historyczna „Zarys historii kościołów chrześcijańskich. Nie tylko dla studentów”. Wydana przez warszawskie wydawnictwo. Także we wrześniu, najpóźniej w październiku, do czytelników trafi kolejna książka historyczna pt. „Kardynał Ledóchowski” wydana przez krakowski WAM w serii „Wielcy ludzie Kościoła”.

– **Jesteś tytanem pracy!**

– Nie ukrywam, że nie. „Zarys historii kościołów chrześcijańskich”, nad którym pracę rozpocząłem jeszcze w koloratce, zajął mi dobre dwa lata. Dwa lata pracy nad 320 stronicami historii porównawczej trzech największych wyznań chrześcijańskich. Starałem się przy tym napisać tę książkę językiem komunikatywnym dla każdego czytelnika i myślę, że jest ona bardzo interesująca.

– **Jak się godzi pracę naukową z twórczością poetycką?**

– Jedno i drugie jest działalnością intelektualną, ale różnica jest ogromna. W pracy naukowej wymagana jest precyzja warsztatowo–metodologiczna, umiejętność korzystania z dorobku intelektualnego wielu wybitnych uczonych. Jednocześnie – w interesie czytelnika trzeba umieć spojrzeć w swoisty zjawiskowy sposób na dany fenomen, np. historii. Poezja jest kreacją, tworzeniem nowego wymiaru świata – często bardzo osobistego. Gdy napracuję się nad książką naukową, chętnie piszę poezję. Wchodzę wtedy w inny świat, w którym odpoczywam. Obie dziedziny, praca naukowa i artystyczna, przynoszą mi ogromną satysfakcję. Najważniejsza jest dobra robota – wkładanie serca w to, co się robi... Tom „Tamta wina” powstał w trakcie pisania „Historii kościołów”.

– **W minionym roku zaszło w Twoim życiu wiele zmian. Nie wiem, czy zechcesz, byśmy o tym mówili...**

– Jedna, ale ważna – podjąłem decyzję wystąpienia ze stanu duchownego katolickiego.

– **Czyli już nie jesteś księdzem–poetą?**

– Kiedy mnie o to pytają, to odpowiadam, że zostałem doktorem–poetą ...

– **W stanie duchownym też nim byłeś. Sły-**



nałeś z niezależności poglądów a do tego umiałeś cieszyć się życiem. Czy ta decyzja zmieniła coś w tej materii?

– Dopiero teraz czuję się wolnym człowiekiem – oczywiście pojęcie wolności jest tak ogromne i wieloznaczne. Do tej decyzji skłoniły mnie wątpliwości natury intelektualnej, doktrynalnej i moralnej. Odnośnie stanu duchownego jest mi dziś bliższa koncepcja Marcina Lutera i wydaje się mieć ona potwierdzenie w tym, co się dzieje dookoła nas, o czym donoszą media. Przez 16 lat bycia księdzem wiele przeżyłem i widziałem, z czym nietawo było mi się godzić. Zdejmując sutannę poszerzyłem obszar swojej wolności. A poza tym jak zawsze piszę, tworzę i staram się być szczęśliwym – czyli cieszyć się z tego, co niesie każdy dzień i ludzie, któ-

rych spotykam w moim życiu. A spotykam bardzo wielu życzliwych mi ludzi, którym za tę życzliwość serdecznie dziękuję.

– **A Bóg?**

– Właśnie. W żadnej mierze nie chciałbym, żeby ktokolwiek tę decyzję łączył ze zmianą mojego światopoglądu.

– **Od jakiegoś czasu działa założona przez siebie Szkoła Poetyki i Umiejętności „Parnas”. Anonsowaliście jej powołanie w ostatnim numerze „Pegaza Lubuskiego” Są już jakieś rezultaty?**

– Powiem raczej – mała szkółka, ale nie ilość, lecz jakość jest tu ważna. Wyniki są niezłe. Adepti prezentowali się już na antenie Radia Zachód. Czytali swoje utwory. Myślę, że bardzo dobrze się zapowiadają. Założyłem Stowarzyszenie Wspierania Twórczości oraz Twórców Kultury i Nauki „PARNAS”. Zostało już sądowo zarejestrowane i od października zaczynamy formalną działalność. Członkami są 42 osoby, zarówno artyści jak i naukowcy oraz sympatycy wszelkiej twórczości. Mamy ambitne plany i będziemy je konsekwentnie realizowali. W dobie pauperyzacji, dotykającej różnych kręgów społeczeństwa, konieczne jest tworzenie środowisk wspierających i promujących wysoką kulturę. Mam nadzieję, że uda się nam nawiązać współpracę z podobnymi stowarzyszeniami tak w Unii, jak i poza nią.

Zresztą już zostałem zaproszony na konferencję, która odbędzie się

w wrześniu na Krymie, gdzie uczeni i twórcy ze Wschodu i Zachodu dyskutować będą o roli humanistyki na progu trzeciego tysiąclecia. Mam nadzieję, że uda się zaprosić do realizacji wspólnych projektów twórców z różnych krajów Europy.

– **Twoje plany na przyszłość?**

– Jestem adiunktem Uniwersytetu Zielonogórskiego i w najbliższej przyszłości pragnę sfinalizować habilitację. To ogromny wysiłek intelektualny, ale w polskich realiach konieczny do rozwoju naukowego. Poza tym chciałbym pisać coraz lepsze wiersze. Mój rozwój widzę w dwóch kierunkach: naukowym i literackim. Nauka jest dla mnie pasją i pracą – poezja oddechem i skrzydłami...

– **Czego można ci życzyć.....?**

– Zdrowia, życzliwości ludzi i udanych promocji moich nowych książek. Zapraszam czytelników na promocje, które rozpoczną się od października.



Tamta wina

jeśli to wszystko co nam obiecano
kradnie upiór codzienności
niech będzie przeklęty dzień
w który weszliśmy ubrani

wspomnienie wpisane w kod
wężem oplata pewność
krwawi nadłamana gałąź
tam był tylko dzień bez nocy

idę z niczym w bezkres gwiazd
dotykam jutra po omacku
nic nie jest pewne
wina jest łaską szaleństwo chwałą

ptaki

to zapatrzenie nasze w drobinę
natury
ptaki chwytające się dachu nieba
od początku tęsknimy by być jak one

pożyczone z zaświatów skrzydła
nie klecą się w ramiona
naszym przeznaczeniem
jest wędrówka

w metaforach ukrywamy tęsknoty
by nie siać nie zbierać bez troski
jeść chleb codzienny
czerpać wodę żywą

czasami wzrok uleci
za kluczem żurawi
myśli poprzylepiają się
do ich skrzydeł
ręce składają się do lotu

zakładnicy Boga umęczeni winą
bezradnie ściągamy ideał

odleciał już w siódme niebo

Kawałki siebie

spływamy miękko ku ziemi
brzęcząc, wibrując
jak woda i światło,
kawałki siebie...

bez fasad, ścian, dachów
miękko do ziemi
jak woda

jestem szczery; kości są moje
kamień jest kamieniem, cement –
cementem, nic się na tej ziemi
naprawdę nie wydarzy

Metafory a rzeczywistość

Według Georgia Lakoffa i Marka Johnsona „myślenie abstrakcyjne jest możliwe dzięki metaforze. Wszystkie abstrakcyjne idee, którymi się posługujemy – w nauce, matematyce, sztuce, Bogu czy śmierci – są produktem metafory. Myślenie metaforyczne nie jest samo w sobie dobre lub złe”¹.

W opinii Lakoffa i Johnsona metafora nie jest, tak jak się przyjmuje tradycyjnie, jedynie zjawiskiem dotyczącym języka. Związana jest także z innymi obszarami aktywności człowieka: myśleniem, percepcją, działaniem. Takie szerokie rozumienie metafory jest efektem przyznania jej przez badaczy funkcji poznawczej, która wynika z roli, jaką pełni ona w kształtowaniu pojęć regulujących różne przejawy poznawczej działalności człowieka. Zdanie autorów „Metafor ...” skutkiem codziennych interakcji z otoczeniem przyrodniczo–społeczno–kulturowym (których elementem są także aktywności językowe, myślowe, działaniowe, percepcyjne) są tak zwane gestalty doświadczeniowe (pojęcia), które reprezentują prototypowe sytuacje doświadczeniowe. Metaforyzowanie polega na ujmowaniu jednej sytuacji doświadczeniowej w terminach innej sytuacji doświadczeniowej (generowanych przez odpowiedni gestalt). Metafora jest przy tym stosowana wówczas, gdy dany obszar aktywności nie jest wystarczająco określony przez wiążące się z nim pojęcie. Aby efektywnie realizować określoną czynność poznawczą zapożyczmy strukturę i reguły postępowania generowane przez inny gestalt doświadczeniowy (pojęcie) obecny w lepiej rozpoznanym obszarze doświadczenia. W szczególności czynimy tak w tych sferach aktywności, z którymi związane są pojęcia abstrakcyjne, np. miłość, czas, wieczność, Bóg itd. Ta koncepcja metafory, jej funkcjonowania, wydaje się jak najbardziej adekwatna w przypadku zajmowania się metaforą religijną, funkcjonującą w XIX wieku. Mając na uwadze sytuację i położenie, w jakim znalazła się Polska i Polacy w okresie porozbiorowym, trudno się dziwić, że metafora religijna nabiera znaczenia nie tylko sakralnego, ale jest też nośnikiem konkretnych pojęć, treści i konotacji politycznych. Za przykład służyć tu może funkcjonująca po utracie niepodległości postawa – „patriota – wariat”, szaleniec tak metaforyczny, jak realny. Jego osobowość ulega przemianie we wszystkich warstwach, a szaleństwo uznawane za przenośne i pisane w cudzysłowie staje się nieraz rzeczywistym². W tym sensie jego postawa może być zaliczona do „mitycznych” i „mitotwórczych”, bowiem tkwi w ciemnej strefie polskiego patriotyzmu, graniczącej z sacrum, obłędem i śmiercią³. Ma ona jednak wymiar metaforyczny dotyczący traumatycznych wręcz doświadczeń wielu patriotów, które pozostawiły ślady w ich myśleniu, percepcji i działaniu.

Ojczyzna objawiła się jako bóstwo. Jej sakralizacja w polskim porozbiorowym patriotyzmie była dziełem romantyzmu. Metafory opierały się na tertium comparationis, mocno tkwiącym w przekazie religijnym. Znane z Biblii obrazy, wydarzenia, działania znajdowały w świadomości pogrążonych w smutku Polaków, pozbawionych wszelkiej nadziei, naturalne konotacje. To nasza historia – jesteśmy wybrani.

Oczywiście już Mickiewicz w wykładzie paryskim z 12 kwietnia 1842 roku ubolewał, że literaci schyłku Oświecenia, którzy zatracili wiarę w powstanie „z martwych”, pomarli w żalobie i rozpacz: to orszak pogrzebowy odprowadzający ojczyznę do grobu.

Metafora (idąc za myślą Lakoffa i Johnsona) uwypukla pewne aspekty doświadczenia, a tłumi inne. Można zatem powiedzieć, że dla dziewiętnastowiecznych Polaków metafora stała się elementem porządkującym świat, w którym się poruszali. Owo działanie metafory polega na selekcji pewnych aspektów doświadczeń, lub też na ich tworzeniu. Występuje tu wyraźna zależność pomiędzy metaforą a konkretną społecznością. „Importowana” do pewnej zbiorowości metafora, zrodzona w innym obszarze kulturowym, tworzy nowe wartości i systemy pojęć. Język staje się tu sferą mediacji pomiędzy człowiekiem a rzeczywistością. Przechowuje on większość głęboko zakorzenionych w danej kulturze językowej wartości, punktów widzenia i stereotypów. Polska – „przedmurze chrześcijaństwa” – staje się „Mesjaszem narodów”, „Polak – katolik” – obrońcą przed niemoralną cywilizacją.

Polskie dziewiętnastowieczne metafory religijne uwikłane zostały w dramat upadku państwowości oraz zagrożenia egzystencji biologicznej i duchowej narodu. Jeśli historia biegła niebezpieczną i groźną dla społeczności drogą, to metafora obecna w literaturze przeciwstawiła jej swoją moc kreowania nowej rzeczywistości, takiej której rzeczywistość dziejowa musiała się podporządkować. Wysiłek polskiego romantyzmu kierował się przede wszystkim osobliwą świecką ewangelią Polaków. Wydaje się, że obiektywna sfera sacrum, przypisana konkretnej tradycji i narodowi, została pochłonięta przez synkretyczną religijność, mającą charakter narzędzia w walce o utrzymanie bytu narodu. Za decydującą więź wewnętrzną, integrującą naród pozbawiony niezależności i jedności politycznej, uznano – w większym

dokończenie ze strony 15

stopniu niż jedność etniczną – wspólnotę tradycji religijnej, historycznej i politycznych dążeń przeszłościowych, a także jedność języka i kultury. W tym sensie myślenia (romantycznego) wiara przestaje być pojmowana jako system niezmiennych dogmatów, strzeżonych przez oficjalne instytucje religijne. Podstawowe dla romantycznego rozumienia procesu historycznego pojęcia: Bóg – jednostka – zbiorowość, pozostawały ze sobą w nierozzerwalnym związku, tworząc dialektykę myślenia romantyzmu polskiego. Mesjanizm jest nie tylko swoistą „racjonalizacją” historii przez narzucanie „wyższego sensu” niesionym przez nią cierpieniom – można by je nazwać cierpieniami historycznymi. Jest on również manifestacją oporu wobec historii.

Wprawdzie Bismarck miał powiedzieć o Polakach, że „są poetami w polityce, a politykami w poezji”, ale to było w okresie niewoli, gdy polityka mogła wyrazić się tylko w poetyckich przenośniach i porównaniach. Dla przykładu metaforyczna „Rota” M. Konopnickiej waha się między politycznym manifestem wzywającym do oporu przeciw germanizacji a poetyczną wizją śpiących rycerzy, oczekujących na dźwięk złotego rogu, który zbudzi ich do czynu:

*Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
Ni dzieci nam germanił
Orężny wstanie hufiec nasz
Duch będzie nam hetmanił
Pójdziem gdy zabrzmie złoty róg
– Tak nam dopomóż Bóg.*

W mesjanizmie polityka przeradza się w teologię polityczną – najwyższy stopień wtajemniczenia politycznego. Metafora polityki mesjanistycznej ma jednak i inne przełożenie. Mesjanizm stał się nadzieją w sytuacji niemożności politycznej, kompensata psychologiczną dla rozbitek historii. Metafora religijna, niosąca wyraźny obraz teologiczny, stała się niezwykle użyteczna w tworzeniu teologii politycznej – ta z kolei kompensowała urazy psychiczne i mobilizowała do czynu. Radowała przed zanikiem poczucia tożsamości narodowej i dezintegracją psychiczną osób identyfikujących się z narodem. Metafora mesjanizmu spełniała tu konkretną funkcję obronną.

Mesjanistyczna wizja polityki polskiej wyróżnia się na tle całej epoki romantycznego postrzegania niepodległości Polski i jej roli w Europie. Mesjanizm odwołuje się do mistyki politycznej. Zadaniem metafory religijnej staje się wręcz przemyślenie treści politycznych, wyrażanie tęsknoty i aspiracji zniewolonego narodu. Metafora służy mitowi. Jak pisał F. Ryszka – pojawia się on tam, gdzie zawodzi racjonalne myślenie, to sposób usensownienia wyobraźni, naginanie jej do z góry założonego celu. Polityka ulega procesowi sakralizacji. Powstaje świat, w którym zacierają się granice między tym, co „ziemskie” i „boskie”. W świecie tym przekonująco brzmią metafory polityczne o wyjątkowości państwa i narodu polskiego – wyjaśniające „ukrzyżowanie”, jak i misyjność Polski – Chrystusa Narodów. To właśnie Bóg wybrał Polakom miejsce pogranicza cywilizacyjnego, kulturowego i religijnego. Metafora religijna w praktyce zdominowała cały sposób postrzegania rzeczywistości XIX-wiecznych pokoleń stając się swoistym narzędziem w wyrażaniu aspiracji politycznych, nadając konkretną formę i centralizując działania wokół swoście rozumianego sacrum.

Przypisy

¹Lakoff G., Johnson M., *Philosophy In the Flash*, (w:) *Znak* 1999, nr 11, s. 30

²Janion M., *Zło i fantazmaty*, Kraków 2001, s. 7

³ibidem

A f o r y z m y

Jego grzeczność nie podlega dyskusji.
Zawsze przeprasza ilekroć jest bezpardonowy.

*

Im mniej wypijesz toastów za cudze zdrowie,
tym więcej oszczędzisz własne.

*

Zbyt często znajduje się miejsce na rzeczy,
które nie powinny mieć miejsca.

*

Nie myśli się o kolcach
na drodze usłanej różami.

*

Złe dni przyczyniały się do tego,
że bywał pod dobrą datą.

*

Krótką jest kariera męża stanu wyjątkowego.

*

Zawsze był na dobrych obrotach,
kiedy jego sprawy przybierały zły obrót.

*

Nie każdy z tych, co nie uznają reguł,
jest człowiekiem wyjątkowym.

*

Wydatki są odwrotnie proporcjonalne do
dochodów. Niejednemu tak się wydaje.

*

Umieć okazywać sztuczną radość
to prawdziwa sztuka.

*

Nie jeden uważa, że aby dobrze żyć,
trzeba iść po trupach.

*

Człowiekowi ciemnemu trudno
cokolwiek wyjaśnić.

*

Rechot żab nie wiele ma wspólnego
ze śmiechem.

Ewaryst

Ewaryst był strasznym nudziarzem. Może nawet byłoby to znośne, gdyby jednocześnie nie był narcystycznym sobkiem. Gdyby jednocześnie nie był żalonym frustratem. Gdyby na domiar złego nie był podrzędnym urzędnikiem. Nie, za wiele tego, jak na jedno mizerne jeststwo. Nawet jego własny pies go unikał. Co tam pies, nawet szef. Wolał zostawiać go w spokoju, nie dawać zajęcia, żeby potem nie nachodził, nie wypytywał, nie oczekiwał zachwyty. Lepiej już, żeby nic nie robił i siedział cicho, niżby miał wchodzić przed oczy i przynudzać.

Podobnie uważali sąsiedzi, znajomi, bliższa i dalsza rodzina, listonosz, kioskarka, obsługa stacji benzynowej, była żona, lekarz rodziny... lista jest zaskakująco długa. Nawet kiedy odwiedzał obce kraje, których język rozumiał w takim stopniu, co szczekanie psa, też wywoływał wokół siebie towarzyską pustkę, prawdziwy horror vacui. Reasumując: nikt nie był w stanie znieść towarzystwa Ewarysta przez czas dłuższy, niż trwa wysmarkanie średniej wielkości nosa. Zresztą czego można by się spodziewać po facecie, który ma na imię Ewaryst?

Każdy więc, jak tylko mógł, unikał go. Nie było to jednak łatwe, gdyż Ewaryst nieustannie szukał towarzystwa. Nie zwracał najmniejszej uwagi na oznaki niezadowolenia, czy nawet jednoznaczne słowa dezaprobaty wypowiediane przez swoich przymusowych interlokutorów. Toteż trudno się dziwić, że unikano go jak ognia. Wymyślano chytre alibi i wykręty, sprytnie wymówki i przebiegłe strategie, żeby go omijać, nie widzieć, nie zapraszać i nie dać się zaprosić. Jedna z sąsiadek nawet zamówiła mszę w intencji uwolnienia się od natręctwa Ewarysta.

Pewnego dnia Ewaryst obudził się, by, jak co dnia, punktualnie pojechać się w biurze. Kiedy wyszedł na ulicę, zdziwiły go jej bezludność i nie-naturalna, absolutna cisza. Najpierw pomyślał, że może to jakieś święto, o którym zapomniał i nikt nie wybiera się do pracy. Jednak niepokoiła ta zupełna pustka i doskonała cisza. Mimo to szedł dalej, ale z każdym krokiem rósł jego niepokój. Tym bardziej, że wiele sklepów i domów było otwartych. A kiedy zaglądał do ich wnętrza, okazywały się puste. To było przerażające. Szedł coraz szybciej, a do biura już wbiegał. Strach prawie go sparaliżował na widok opuszczonych pokoi. Nie było w nich nie tylko ludzi, ale też mebli, urządzeń biurowych, ani nawet jego ukochanego ekspresu do kawy. Nie pozostał choćby jeden nędzny, zagubiony pod wykładziną, spinacz. Wykładzina też została zwinięta i wyniesiona.

Długo wałęsał się po pustym mieście, pełnym opustoszałych mieszkań, stojących tramwajów, nieczynnych bankomatów, milczących aparatów telefonicznych, porzuconych samochodów, niedziałającej sygnalizacji świetlnej. Ani jednego człowieka, nawet psa z kulawą nogą, kota, nawet jednego ptaka! – zupełna martwota.

Kiedy wreszcie trochę się otrząsnął z lęku i przygnębienia, wyruszył na poszukiwanie jakichś oznak życia. „Jeśli miasto zostało z jakiegoś powodu ewakuowane – myślał – to gdzieś poza nim muszą być ludzie”. Jednak mimo, że zawędrował daleko poza miasto, nie spotkał żywego ducha. „Nawet jeśli podczas kiedy spałem, ludzkość przeżyła jakąś katastrofę – rozważał dalej – to przecież, skoro ja ocalałem, musiało się to udać także innym”.

W ciągu wielu dni przebył kraj wzdłuż i wszerz, ale nie spotkał ani jednego człowieka. Co dziwniejsze, nie znalazł także najmniejszych śladów katastrofy. W końcu ruszył dalej, poza granice własnego kraju, a potem, gdy kontynent wydał mu się także bezludny, odważył się na penetrację innych części świata. Niestety, wszystko na nic, był sam na świecie.

Był zrozpaczony. Postanowił powrócić do domu i tam zakończyć życie.

Kiedy znalazł się na powrót w rodzinnym mieście, mimowolnie spojrzął na stary, postrzępiony plakat kinowy na jakimś słupie. Ze smutkiem i nostalgią przypomniał sobie, że był na tym filmie. Obok ktoś przykleił kartkę niedbale wyrwaną z zeszytu, a na niej nagryzmolił niebieskim długopisem:

„Ewaryst, mamy ciebie dosyć, wynosimy się. Ludzkość”.

Angelus

– Wejdz pan, tylko szybko, bo to tałatajstwo zaraz próbuje uciekać. – Hodowca uchylił nieznacznie drzwi przepuszczając dziennikarza.

Za drzwiami kurnika panował nieopisany harmider. W strasznej kotłowaniu i niezemskich piskach, w pierzastej zamieci, zrazu niewiele można było dostrzec. Dopiero po chwili dziennikarz rozpoznał pojedyncze egzemplarze ptasiego roju. Po następnej chwili rozpoznał, że to nie ptaki i ze zdumienia rozdziawił tylko usta. Zerkał to na małe ruchliwe stworzenia, biegające i skaczące bezładnie, to na hodowcę, który patrzył na swój pierzasty inwentarz z wyrazem znudzenia i dezaprobaty.

– To karłowata odmiana burgundzka putto putto. Najpierw hodowałem duże serafiny, ale to jakieś słabowite było i ptasia grypa je przetrzebiła – wyjaśniał hodowca widząc osłupienie dziennikarza.

– To przecież... to anioły... – wydukał żurnalista.

Tym razem zdziwienie malowało się na twarzy farmera.

– W hodowlach zarodowych nazywają je angelusami... Tak czy siak to głupie bydlę jest – tłumaczył hodowca.

– Anioły... – szeptał dziennikarz, wodząc wzrokiem za biegającymi chaotycznie małymi stworzeniami. – Dlaczego one nie latają? – zapytał, kiedy wreszcie wróciła mu przytomność umysłu.

– Latają, tylko mają przycięte skrzydła, bez tego to ten pomiot zaraz by się wyrwał stąd i szukaj wiatru w polu...

Dziennikarz pokiwał głową.

– Ale po co je pan hoduje? – zapytał.

– Na jajka – odrzekł hodowca.

– Jajka?? – dziennikarz nie przestawał się dziwić.

– A no tak, patrz pan – farmer kopniakiem przepędził angelusa, który z piskiem uciekł z zajmowanego gniazda. Schylił się i poniosł świecą kulę wielkości kurzego jajka. – Znoszą jedno na tydzień, mało, kury noszą więcej, ale ich jaja nie świecą, jak te. Mam teraz prawie dwa tysiące tych kurdupli to jakoś wychodzę na swoje.

Rzeczywiście, jajko świeciło jak czterdziestowatowa żarówka.

– Ta, ma tak ze 40 watów, ale są i mocniejsze, zdarzają się nawet dwusetki! – wyjaśniał zaferowany farmer.

Dziennikarz zdawał się zupełnie skołowany.

– I co się z tym robi? – spytał głupio, wskazując na świecące jajko.

– Jak to, co? To lepsze od żarówki, świeci osiem razy dłużej. – Hodowca mimowolnie krzywił usta, dziennikarz rozczarowywał go brakiem wyobraźni i domysłności, chętnie widziałby go biegającego pośród jego angelusów.

– A co one jedzą? – brnął dalej dziennikarz.

– A to. – Farmer wskazał na stojące pod ścianą worki. – To pasza, jakieś paprochy, kury tego nie tkną, a te żrą, jak głupie – wyjaśnił i mało subtelnie popchnął dziennikarza do wyjścia.

Za drzwiami kurnika (dziennikarz nie znajdował lepszego określenia) jazgot zelżał, łatwiej było zebrać myśli, poskładać wszystko logicznie. Dziennikarz chciał jeszcze zadać kilka pytań, ale farmer odszedł już bez pożegnania. Zrobił krok, by za nim pobiec, ale nagle pomyślał sobie, że może to jednak nie jest dobry materiał do poważnej gazety.



Agnieszka Moroz

(lat 16)

Niekochani

Nieprawda
 że każdy jest kochany
 Są ludzie
 z dłońmi zmęczonymi
 pozbawionymi linii papilarnych
 które przeniosły się na twarz
 Są ludzie mali
 z dygoczącym sercem
 ustami suchymi
 tylko do krzyku
 I ludzie głupi
 I brzydcy
 I ci zupełnie bezbarwni
 A wreszcie po nich
 daleko
 na końcu
 Są jeszcze ludzie
 z pamiętnikami
 ogrzewający ciszę złych dni
 rękami do dawania
 Agawa

Magda Gryczyk

(lat 20)

* * *

Łza jest aniołem szczęścia,
 Skrzydłem wiatru
 i różą na wietrze,
 Przyjacielem smutku,
 panią miłości
 I małym ziarnkiem piasku
 w moich oczach
 Gdy spada na cichy
 marmurowy pomnik

* * *

Uzucie, tak delikatne
 jak piórko
 Delikatne tak że najlżejszy
 podmuch podsycza żar
 Uzucie tak zwiewne i ulotne
 Jak łabędź, który zaraz
 odpłynie...
 Jesienny, Arkadyjski, Narrator

* * *

Małą, jestem częścią,
 Nieskończonej prawdy
 Mocna wbitą w ranę
 Miłości bez końca

Iwona Surowiec

(lat 18)

Wieża Babel

Upadła wieża Babel!
 Runęła z wielkim hukiem.
 Na cały świat upadła...
 Kto podniósł na nią, dłoń?
 Kto rozsypał domek z kart?
 Już nie zobaczymy chmur...!
 Nie dotkniemy nieba!

Wczorajszej dłoni kres...
 I wczorajszego dnia!
 Jeszcze w żyłach wino jest,
 A ze sceny trzeba zejść!
 Jeszcze nogi w tańcu śpia,
 A na sali pusto już!
 Słońce zgaśło.

Wielki krzyk
 Martwe ciała.

**Karolina Czabara****Paradoks**

W cieniu słońca
 W dźwiękach ciszy
 Kocham cię i nienawidzę

W czarnej bieli
 W białej czerni
 Kocham cię i nienawidzę

W słodkim bólu
 W gorzkim szczęściu
 Jednak kocham.....

* * *

nastąpiła era
 egoistycznych bóstw
 trzymających w zębach
 krwawiące dusze śmiertelników

Kaja Kretschmer

(lat 19)

* * *

wiersz winien
 rozdrapywać rany
 a nawet je zadawać
 spijając słowa
 jak źródlaną wodę
 miód
 cierpką trucizną odkrytej prawdy
 może być ostatnim tchnieniem
 z ust umierającego
 ostatnim jego wyznaniem
 dla porzuconego świata
 nigdy nie stwarza się
 z przypadku i nigdy nie kona
 choć czasem pochodzi od Szatana
 częściej od Boga

* * *

ZANIM odejdę
 nim zasuszone łzy
 Jak na harfę serca
 spadające kamienie
 odłożę do małej szufladki
 pamięci z Twoim imieniem
 wyrwijmy z okrutnego świata
 tę jedną magiczną noc

staną wszystkie zegary
 świat nieświadomy
 zamarły w głuchym echu
 jednego stknięcia
 pozwoli pamięci iść na spacer
 po zapomnianych ścieżkach
 nie bój się
 nie będziemy pamiętać szeptów
 nie bój się
 zagłodzimy ból

Katarzyna Izydorek

* * *

podarowałam
 umierającemu z pragnienia
 na pustyni
 kartę kredytową
 pomyślałam
 aby kupić sobie
 odzież żywność
 wodę
 a on
 umarł
 nawet jej
 nie dotykając



Teresa Rozpłochowska- Świtła

Należy do grupy literackiej RSTK. 30 lat pracowała w gastronomii. Pisze od 10 lat. Debiutowała w 1998 r. w piśmie „Własnym Głosem”. W 2003 r. jej wiersze emitowało Radio Zachód w cyklu „Radiowa poetycka książka miesiąca”.

w kręgu

zakwitła jesienią
za późno na owoce
lada dzień lawina
zejdzie ze szczytu grudnia

pokryje bielą
kartki do napisania
luty wygoni styczeń
kwiecień to pantoflarz

zapisze w kalendarzu
datę poczęcia
nie przegapi wyklucia
jaskółki wiersza

Przemijanie

wisi w przedpokoju
ponad pół wieku
kiedyś było wesoło
chwaliło mój gust urodę

dni pochmurne
rozjaśniało sukcesem
rozczochrane wstawanie
ubierało w wartości

przy porannej kawie
obawy twarzą w twarz
wieczne zwierzenia
kradł czas zza ramy

przyzwyczaiłam się
do mojego lustra
choć zrzędzi ma skazy
zaćmę starczy uwiadł



Izabela Komar

(lat 16)

W zajęciach Małej Akademii Literatury uczestniczy od sześciu lat. Interesuje się muzyką i poezją (zwłaszcza twórczością Krzysztofa Kamila Baczyńskiego); lubi czytać książki, spotykać się z przyjaciółmi i poznawać nowych ludzi.

Była wielokrotnie nagradzana na konkursach literackich dla piszącej młodzieży, m.in. *tytułami laureata*: w Wojewódzkim Konkursie Poetyckim „Miłość niejedno ma imię” (Zielona Góra 2002), w X Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim – Legnica 2003, w X Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Małe krajobrazy słowa” (Kędzierzyn–Kozłe 2004) i w Wojewódzkim Konkursie Literackim „Gdybyś został burmistrzem...” (Zielona Góra 2002) *I nagrodą* w VI Ogólnopolskim Konkursie Literackim „O Złote Pióro” (Gubin 2003) oraz *wyróżnieniem* za wiersz i prozę w XV i XVI Ogólnopolskim Konkursie „Twórczość ze szkolnej ławy” (Będzin 2002 i 2003).

Pierwszy wiersz

nieokrzesany
z charakterystycznym nieładem
niedopracowany
śmieszny
mówiący o niczym
jakby nie mój
a jednak
znaczący tak wiele

przecież
od niego wszystko się zaczęło!

* * *

jak polny kwiat
nie wyróżniam się w tłumie
jestem zwykłą osobą
z rozwianym włosami
na wietrze

mimo to
jest coś
dzięki czemu
polny kwiat staje się różą
jedyną w wielkim ogrodzie

umiem myśleć
i noszę różowe okulary
(nawet wtedy gdy nie świeci
słońce)



Agata Malina

(lat 16)

W zajęciach Małej Akademii Literatury w Skwieczynie prowadzonej przez Beatę Igielską uczestniczy od półtora roku. Ceni twórczość: Jana Kochanowskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Różewicza.

W XVI Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Twórczość ze szkolnej ławy” (Będzin 2003) otrzymała wyróżnienie a w Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Małe krajobrazy słowa” (Kędzierzyn–Kozłe 2004) – tytuł laureata w kategorii poezji.

Decyzja

miłość
zamknęłam w skrzyni

klucz wyrzuciłam
za okno

i o nim
zapomnę

Burza śnieżna

Williamowi Turnerowi

Śpisz
płyniesz łódką

ona się kołysze
i ty kołyszysz się na wietrze

myśli twoje
rozpuszczają się w zimnej wodzie

już nie słyszysz
głuchego echa
co woła o życie
i śmierć
jednakowo

otula cię
piana wzburzonych fal
ciemna noc
wskazuje podwodny świat
umarłych

za chwilę
przekroczysz jego próg

za chwilę

Literacy jubilaci

Maria Przybylak i **Witold Niedźwiecki** właśnie kończą 75 lat. Serdeczne gratulacje i życzenia długich lat życia składa redakcja „Ziemi Gorzowskiej”.

Witold Niedźwiecki (ur. 15.VI.1929) jest prozaikiem. Wydał siedem książek. Są to zbiory opowiadań, powieści, reportaże. W latach pracy zawodowej był dziennikarzem, redaktorem naczelnym „Nowin Jeleniogórskich”, „Nadodrza”, „Rolniczej Warty”. W Gorzowie zamieszkał w 1978 r. mając prawie 50 lat i jak się okazało, dopiero to miasto stało się jego miejscem na ziemi; nigdzie wcześniej nie mieszkał tak długo.

Pochodzi z Wileńszczyzny. Już jako 14-latek został zmobilizowany do AK. Był najmłodszym oficerem bez stopnia. Reminiscencje tamtych przeżyć i przemyśleń zawarł w swoich pierwszych książkach: „Kręte ścieżki”, „Droga do Samossierzy” i „Odnaleźć siebie”. W jednym z ostatnich transportów przyjechał na Dolny Śląsk. Pracował, potem studiował, ukończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim, pracę dziennikarską rozpoczął w miesięczniku „Odra”. W tamtych latach bardzo zainteresował się Bliskim Wschodem i kulturą arabską. Kilka razy jeździł do Syrii i Iraku, do Tunezji i Maroka, by bliżej poznać przeszłość i współczesność Arabów. Wtedy, w latach 60. i 70. był to ciekawy i spokojny świat. Bezpośrednim plonem podróży było wiele reportaży i książka „W pobliżu rajów”. Podróże arabskie zainspirowały go do napisania powieści „Sahra” a także pomogły w przygotowaniu „Dowódcy umarłych okrętów” i nie opublikowanego w książce zbioru apokryfów „Sodoma”. W polską przeszłość przeniósł swoich czytelników w powieści „Brama Pomorska”, której akcja rozgrywa się w 1410 r. na Pomorzu. Napisał także powieść „Antypody” czytaną w Radiu „Zachód”, a obecnie pracuje nad powieścią „Czerwony potok”, w której wykorzystuje losy swego stryjecznego dziadka w latach Rewolucji Październikowej.

Maria Przybylak (ur. 5.VII.1929) długo nie zdawała sobie sprawy ze swojego talentu poetyckiego. Urodziła się w biednej rodzinie na Polesiu, po wojnie jej rodzina osiedliła się we wsi w pobliżu Gorzowa, a młoda Maria szukała pracy w mieście. Znalazła ją w Stilonie i z tym zakładem związała całe zawodowe życie. Wyszła za mąż, urodziła dzieci, prowadziła dom. Ciągnęło ją do pisania, ale nie traktowała tego serio. Nigdy nie pokazała żadnego swego wiersza mężowi, a on umarł zanim zdobyła się na odwagę ujawnienia swojej twórczości. Żeby opublikować swoje wiersze, namówili ją koledzy z pracy, a w „Stilonie Gorzowskim” – zakładowym piśmie – chętnie zamieszczano wszystkie literackie próby pracowników. Szybko okazało się, że pisanie wierszy to nie fanaberia a prawdziwa potrzeba wyrażenia siebie. Na początku lat 80. Maria Przybylak włączyła się do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury, założyła gorzowskie RSTK, jej wiersze drukowano w wielu pismach, także o zasięgu ogólnopolskim, w Polskim Radiu czytali znani aktorzy. Debiutowała tomem wierszy „Polimer granulowany” w 1980 r. wydanym przez GTK w Gorzowie. W następnych latach wydała jeszcze cztery tomy wierszy: „I ciągle jeszcze jestem do nazwania” (Warszawa 1984), „Radość z rozdawania” (Gorzów 1996), „Takie szczęście” (Zielona Góra 2001) i „Cerowane lata” (Gorzów 2003). Pisze przede wszystkim o sobie, o trudnym życiu wypełnionym pracą, małych radościach, wielkich kłopotach, miłości – najważniejszej w życiu, rodzinie, sensie życia, wysiłku, wierze tak pomocnej w chwilach zwątpień. Pisze wiersze proste, bardzo szczerze, łatwo trafiające do odbiorcy.

Witolda Niedźwieckiego i Marię Przybylak łączy tylko zbliżona data urodzenia. Inne były ich zajęcia przez lata pracy zawodowej, w swoich utworach podejmowali zupełnie inne tematy, uprawiali różne formy literackiej wypowiedzi. Ale właśnie dlatego, że tak są odmienni w swojej twórczości, obydwójce ogromnie wzbogacili literacki dorobek naszego regionu. Więc z okazji 75 rocznicy urodzin im obojgu – podziękowania za to, co zrobili i życzenia, by dali nam kolejne książki.

Krystyna Kamińska

Lubuscy laureaci

X Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego

im. Zdzisława Morawskiego

Jerzy Fryckowski

I nagroda w kategorii poezji

Urodził się w 1957 roku w Gorzowie i przez jakiś czas z rodzicami mieszkał na Ziemi Lubuskiej, w Sulęcinie, Górzycy. Potem jego rodzice wyprowadzili się do Nowego Dworu Gdańskiego koło Słupska. Polonista z zawodu mieszka i pracuje w Dębnicy Kaszubskiej koło Słupska. Wydał do tej pory osiem tomów wierszy, jego poezje pomieszczone są również w kilku almanachach.

Czesław Markiewicz

I nagroda w kategorii proza

Urodził się w 1954 roku w Zielonej Górze, tu skończył studia, pracuje jako dziennikarz Radia Zachód. Pisarz, poeta, publicysta, juror i uczestnik licznych konkursów literackich. Zajmuje się propagowaniem literatury. Ma na swoim koncie kilka książek – tomiki wierszy, opowiadania, powieści oraz szkice literackie.

Beata Igielska

Wyróżnienie w kategorii poezja

Urodziła się w 1968 roku w Skwierzynie. Skończyła filologię polską na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, uczy języka polskiego w LO w Skwierzynie. Utytułowana poetka i pisarka, wychowawczyni pokolenia piszącej młodzieży. Lubi poezję pokolenia Kolumbów, szczególnie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Cypriana Kamila Norwida, i współczesnych klasyków w osobach Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta.

Magdalena Pluta

Wyróżnienie w kategorii proza

Urodziła się w 1975 roku w Bystrzycy Kłodzkiej. Od roku mieszka i pracuje w Słubicach, gdzie trafiła po studiach na Uniwersytecie Zielonogórskim. Udział w konkursie jest jej literackim debiutem. W wolnych chwilach od pracy lubi poczytać opowiadania Olgi Tokarczuk, prozę Manueli Gretkowskiej, Doroty Masłowskiej, Rollanda Topora a nawet Andrzeja Sapkowskiego.

Tatuś

Od kilku lat Gimnazjum i Szkoła Podstawowa Nr 15 przy maleńkiej uliczce malarza Kotsisa na Os. Staszica, organizuje biennale dziecięcej twórczości literackiej i plastycznej poświęconej rodzicom. Po dwóch pierwszych edycjach, których bohaterką była „Matka, mama, mamusia”, w tym roku po raz pierwszy zaszczytu tego dostąpił „Tatuś”

Na konkurs plastyczny wpłynęło ponad dwa tysiące prac z kraju i zagranicy, na literacki, tylko z Polski, ale niemal z wszystkich jej regionów, aż 1068 utworów. Przyznano wiele nagród i wyróżnień w kilku kategoriach wiekowych. Plastyczne Grand Prix otrzymał siedmioletni Łukasz Stopa z warszawskiego Pałacu Młodzieży, Wielką Nagrodę Literacką jedenastolatka Jagoda Smużyńska z Mławy.

Tatuś

*Mój tatuś jest moim idolem,
Ideałów początkiem i końcem.
Jaką właściwie odgrywa rolę?
Najtrudniejszą na świecie. Jest Ojcem.*

napisała Dorota Ciupińska ze Słupska.

Najszczęśliwsi są ci, którzy piszą: Mój tatuś jest moim najlepszym przyjacielem. Najnieszczęśliwsi zaś ci, którzy muszą napisać: Mój tatuś nie mieszka z nami. Te ostatnie prace są najbardziej przejmujące. Na szczęście jest ich niewiele. Zdecydowanie przeważają opowieści o ojcach, którzy wnoszą w życie swoich dzieci wiele pozytywnych wartości.

Przed wszystkim tato wszystko umie zrobić i tego uczy swoje dziecko. Wszystko – to znaczy: zreperować rower, zainstalować program komputerowy, prowadzić samochód, ulepić bałwana, rozbić namiot, złowić rybę na wędkę, usmażyć jajecznicę. Nawet jeśli nie umie zapleść warokocza i tak jest doskonały. Dziadek uczył tatę, tata uczy swojego syna dziesiątków umiejętności przydatnych w codziennym życiu. Syn wie, czego w przyszłości będzie uczył swoje dzieci. Trwa naturalna ciągłość pokoleń. Dzieci zdają sobie z tego sprawę.

Tradycyjnie ojcowie odpowiedzialni byli za zapewnienie bytu rodzinie. Współcześni ojcowie także dużo pracują, a dzieci raczej wiedzą, na czym polega ich zajęcie. Wiedzą też, że z powodu pracy ojcowie są zmęczeni, że nie mają dla nich czasu, że konieczność zarabiania pieniędzy wiąże się z dalekimi wyjazdami i długą nieobecnością. Rozumieją to, choć właśnie stała obecność ojca jest jednym z warunków ich szczęścia. Dopiero latem, gdy tatusiowie mają urlopy, zdarzają się te najcudowniejsze wspólne wyjazdy pod namiot albo na ryby. Ileż wtedy przygód, przygód bezpiecznych, gdy tata jest blisko.

Fantazja i dobry humor ojców są gwarantami najwspanialszej zabawy. Z nikim nie można się tak dobrze bawić jak z tatą. Co ciekawe, tatusiowie mniej zajmują się nauką swoich dzieci w szkole. Widać, że



Grand Prix konkursu plastycznego – Łukasz Stopa l.7, Warszawa

obowiązek kontroli odrabianych lekcji niemal całkowicie spadł na mamy.

W dwóch poprzednich edycjach konkursu ogłoszonego przez Szkołę Podstawową nr 15 w Gorzowie uczestnicy przekonywali nas, że matki są najważniejsze. Tegoroczna edycja upewnia, że świat wnoszony przez ojca jest niezbędny dzieciom: pełen barw, niespodzianek i stale odkrywanych wartości. Mamy są naprawdę kochane, ale to za ojcem każde z dzieci gotowe jest pójść w ogień.

Dzieciom gratulujemy takich ojców, a ojcom – dzieci, które umiały ich pięknie opisać.

Krystyna Kamińska i Ireneusz K. Szmidt

Komisja Kwalifikacyjna ZG ZLP na ostatnim posiedzeniu przyjęła w szeregi członków zwyczajnych pisarzy gorzowskich: Kazimierza Furmana, Ludwika Lipnickiego i Jerzego Gąsiora, do grona kandydatów Teresę Borkowską, Elżbietę Skorupską-Raczyńską i Irenę Zielińską. Dziś sylwetka Kazimierza Furmana.



Kazimierz Furman

Gorzowski poeta został przyjęty w szeregi Związku Literatów Polskich. Uznawany za ekscentryka, obdarzony zgryźliwym poczuciem humoru, znany z nieparlamentarnego stylu wypowiedzi i takowego stylu bycia poeta jest autorem kilku tomików wierszy. Od lat uczestniczy w różnych konkursach poetyckich w kraju.

Pisze wbrew modom, nie interesują go rozważania teoretycznoliterackie, dywagacje krytyków. Zaczynał od terminowania u Zdzisława Morawskiego, uznanego wówczas poety gorzowskiego. Na szczęście bardzo szybko odnalazł własny styl i język, zupełnie odrębny od stylu nauczyciela.

Furman w swojej poezji od lat dąży kilka stałych motywów. Jednym z najważniejszych jest motyw kobiecości – jej tajemnicy zawartej w różnych figurach – matka, żona, kochanka, dziwka. Drugim wyraźnym motywem poezji Furmana jest jego samotność i wyobcowanie. Tu też pojawiają się różne ujęcia tego tematu – samotność z wyboru, z konieczności, z wyborów życiowych. Niezmiernie rzadko, ale też pojawiają się motywy dotyczące samej poezji.

Niezaprzeczną wartością poezji Furmana jest jego język – oszczędny, bez zbędnych metafor lub innych ozdobników. Czasami świadomie maksymalnie redukuje tekst. Ucieka od słów.

Kazimierz Furman niemal przez całe dorosłe życie mieszka i pisze w Gorzowie. Od swego debiutu tworzy nieustannie. Warto jednak kolejny raz zaznaczyć, że należy wyraźnie oddzielić jego twórczość konkursową, z której kiedyś się utrzymywał od działalności stricte artystycznej. Nie można ich obu mierzyć jedną miarą, choć niektórzy przeciwnicy stylu bycia Furmana usiłują to robić. Równoległe do poezji Kazimierz Furman uprawia prozę i publicystykę. Choć zaznaczyć trzeba, że jest to margines jego zainteresowań, ale jakże ciekawy.

Renata Ochwat

* * *

Spóźniłem się o jedno życie
O dziesięć lat o chwile
A był dobry czas by garbić się do ziemi
I zapomniałem zdjąć zasłonę z twarzy
Gdy inni wyciągali z rękawiczek dłonie
Kładąc na tacy linie papilarne

Zapomniałem bogów codzienności
ich nazwiska

Imiona

Adresy

Wstąpiłem w cień klasztoru
Gdy inni w szeregi wstępowali

Kryjąc przed nimi niespodzianki twarzy
Potknąłem się kilka razy o historię

I chociaż zrywam kartki z kalendarza
Zegar czas Kręci byle jak

Kazimierz Furman urodził się 20 maja 1949 roku w Jędrzejewie koło Piły. Jego rodzice przeprowadzili się do Gorzowa, kiedy miał kilka lat. Debiut w 1974 roku w Nadodrze, w 1996 roku otrzymał nagrodę kulturalną wojewody gorzowskiego, w 1998 roku został laureatem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Jego wiersze są tłumaczone na język niemiecki. Wydał dziesięć książek poetyckich.

Katarzyna Maciantowicz
„Skóra”
 Gorzów 2003
 Robotnicze Stowarzyszenie
 Twórców Kultury
 Oprac. graf. Zbigniew Olchownik

Drugi tom wierszy młodej autorki niczym nie różniący się od pierwszego „Międzybywania” (1999). Podobnie zaskakująco odkrywcze metafory, duża subtelność, poetyckie muśnięcia tematów i uczuć. Ale to, co było dobre w debiutanckim zbiorze, nie wystarcza w drugim. Wyraźnie czuje się brak odwagi w poetyckim ujmowaniu tematów i uczuć. Przyczyny mogą być dwie: albo autorka nie ma za sobą dostatecznie silnych emocji, albo nie umie o nich inaczej pisać. Wolę wierzyć w to pierwsze. I czekam na pełną dojrzałość.

Dariusz Muszer
„Wszyscy moi nieznajomi”
„Jestem chłop”
 Szczecin 2004
 Wydawnictwo 13 Muz

Autor niegdyś związany ze Strzelcami Krajeńskimi i Gorzowem, obecnie mieszka w Hanowerze. Dwa zbiory wierszy świadomie wydane równolegle, wzajemnie się dopełniające.

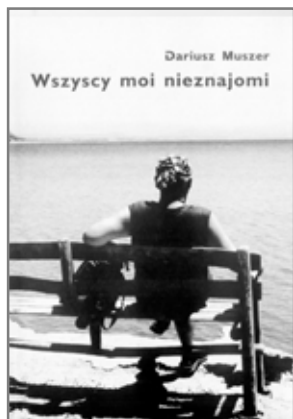
W pierwszym – „Wszyscy moi nieznajomi” – dwa (lub trzy) sąsiadujące z sobą wiersze tworzą dwugłos na temat tej samej sprawy. To refleksje kobiety i mężczyzny (czasami także tej/tego trzeciej/trzeciego) na temat wspólnego życia i uczuć. W zasadzie są to całe powieści, ba, sagi rodzinne, opowiedziane poetyckim językiem. Dużo w nich seksu, jak to u dorosłych, także dużo subtelnych uczuć, które widzi poeta.

W drugim – „Jestem chłop” – zgodnie z tytułem opis świata z męskiej perspektywy. Dużo seksu, dużo uczuć, brutalna prawda o samczym widzeniu świata.

Bardzo dobre dwie książki.

Jerzy Dąbrowa–Januszewski
„Ptaki myśli”
 Słupsk 2004

Ósma książka poetycka dziennikarza i krytyka literackiego związanego ze Słupskiem, który lata szkolne i maturalne spędził w Gorzowie (rocznik 1942). „Ptaki myśli” (bardzo dobry tytuł) są rodzajem sumowania życia.

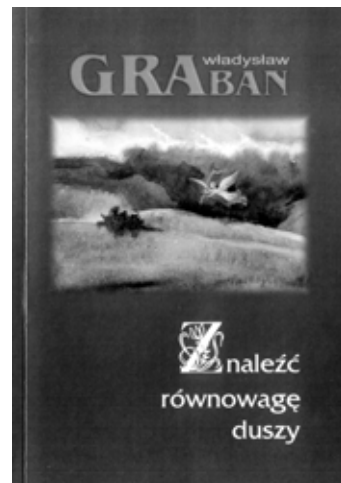


Autor dedykuje tomik „Miastu młodości”, czyli Gorzowowi. Tom składa się z cyklu nie tyle wierszy co „próż poetyckich”, a forma wzmacnia refleksję i daje w lekturze poczucie wolno płynącego czasu. Początek opowieści – co naturalne – wiąże się z doliną Kłodawki, katedrą, Gorzowem. Koniec – co zaskakujące – także odwołuje się do Kłodawki. Wiadać, zapadła autorowi w serce. Najpiękniejsze części jednak poświęcone kobiecie, która tam gdzie słony wiatr i syпки piach.

Władysław Graban
„Znaleźć
równowagę duszy”
 Strzelce Kraj. 2004
 Wydawnictwo „Lemko Tower”

Wiersze zebrane jednego z najlepszych poetów łemkowskich, piszącego po polsku i po ukraińsku, tłumacza z języka ukraińskiego. Redakcja Janiny Graban z przejmującym „Epilogiem genetycznym” o odkrywaniu łemkowskich korzeni. Obszerny (124 str.) tom wyrastający z łemkowskiej kultury, ale znacznie ją przekraczający w poetyckim obrazowaniu. Wiersze wzruszająco proste a jednocześnie bardzo dojrzałe w formie i treści. Dobra poezja. Tom o dużym znaczeniu dla kultywowania łemkowskiej tożsamości. Druga książka wydana przez wydawnictwo „Lemko Tower”, które specjalizuje się w tej tematyce Pierwszą były wspomnienia „Z łemkowskiej skrzyni”.

Krystyna Kamińska



Władysław Graban Powroty

Na wzgórzu dom
 mego dzieciństwa
 bosonogi
 wracam do niego zasmucony
 coraz odleglejszy
 Kwiaty z okien
 powędrowały donicami rzek jak
 białe łabędzie bezszelestnie

Dariusz Muszer Małżonkowie

Nie tak to robisz,
 mówiła mu przez całe życie,
 a on nie rozumiał.

Nie tak to robisz,
 mówił jej przez całe życie,
 a ona nie rozumiała.

Po śmierci położono ich na
 osobnych cmentarzach. I też
 im to nie pasowało.

Wincenty Zdzitowiecki Ostrogi, czyli dodatki i arkusze

Dziewiątego września 1977 r. zostałem przewodniczącym zarządu gorzowskiego ośrodka KKMP. W swojej kadencji udało mi się doprowadzić do wydania pięciu obszernych dodatków literackich w „Gorzowskiej Przemysłówce”. Zresztą już wcześniej razem z Kazimierzem takie dodatki redagowałem. Np. w grudniu 1976 r. ukazał się dodatek (3 str. B-3), zawierający wiersze: Lidii W. Antkowiak z Myślborza, Pawła Dorozko, Wiesława Romaniuka, Janusza Zwolskiego (byłego męża Krystyny Zwolskiej, wrócił później do Częstochowy), Sławomira Trockiego, Krystyny Tomaszewskiej, Barbary Trawińskiej, Kazimierza J. Furmana, Wiesławy Michalak, Wojciecha Sroczyńskiego, Elżbiety Rolińskiej – Zdzitowieckiej i moje. Omówiłem działalność KKMP jako kontynuację literackiej tradycji Gorzowa, zrecenzowałem arkusz poetycki K. Furmana „Powrót do osłupienia”, a jednocześnie pod pseudonimem „Orzeł” felietonowo zapiekłem z „trzepotania” przy znoszeniu się młodej gorzowskiej poezji. Zamieściłem spore opowiadanie K. Furmana „Przebudzenie” i małe opowiadania: Beaty Ananiewicz-Szmidt (znanej potem jako Langenaken, i pod nazwiskiem panieńskim – Królak, od wielu lat mieszka w Belgii) i swoje pt. „Kasia idzie spać”. W dodatku znalazły się też fraszki Jana Grossa i notatnik ważniejszych wydarzeń młodoliterackich. Całość ilustrowana zdjęciami z cyklu „Własność osobista” młodego artysty – fotografa Jerzego Szalbierza.

Odwzorowuję z notatnika, iż 26 września 1976 r. na drugim zebraniu KKMP wystąpił m.in. Mieczysław Machnicki, poeta i redaktor „Nowego Wyrazu”. W Lubniewicach od 27 do 29 października 1976 r. trwał sejmik literacki młodych, w którym z prelekcjami wystąpili m.in. poeta Tadeusz Mocarski – red. „Poezji” i „Nowego Wyrazu”, Janusz Koniusz – poeta i prozaik, red. „Nadodrza” oraz Zdzisław Morawski – poeta i prozaik, red. nac. „Ziemi Gorzowskiej”, członek kolegium redakcyjnego „Nadodrza”. Na zakończenie obu tych imprez odbyły się turnieje poetyckie i krótkich form prozatorskich.

W drugiej dekadzie października 1976 r. ukazał się – wydany przez Gorzowskie Towarzystwo Kultury – arkusz poetycki Kazika Furmana „Powrót do osłupienia”. Satyryk Jan Gross został członkiem nadzwyczajnym Stowarzyszenia Autorów „ZAIKS”. Na początku listopada ukazała się, wydana przez Wydawnictwo Poznańskie antologia młodej poezji lubuskiej „Moment wejścia” przygotowana przez A.K. Waskiewicza. Z naszego terenu wiersze pomieścili: Teresa Wilczyk z Dębna Lubuskiego, Janusz Olczak ze Skwierzyny oraz K. Furman, Wojciech Sroczyński i ja z Gorzowa.

W dodatku literackim „Młodzi Piszą” z kwietnia 1978 r. dużą recenzję z tomiku Władysława Łazuki „Przejdź sad” opublikował Kazimierz Wachowicz. Zamieszczono poza tym wiersze, biogramy i zdjęcia 19 autorów, w tym m.in.: Beaty Ananiewicz, Lidii Antkowiak, Doroty Dembowy z Lipska (NRD), Kazimierza Furmana, Jerzego Klincewicza, Władysława Łazuki, Zenona Nowopolskiego, Marii Przybylak, Leszka Rybki, Wojciecha Sroczyńskiego, Barbary Trawińskiej, Kazimierza Wachowicza, Elżbiety Zdzitowieckiej oraz moje. Omówiono działalność i dorobek KKMP, പറഞ്ഞോ felietonowo na skąpość mecenasów (wówczas tylko państwowych).

„Dodatek Literacki” z marca – kwietnia 1979 r. przynosi na czołówce szerokie omówienie sytuacji młodej literatury w kraju dokonane przez poetę i prozaika z Bydgoszczy – Stefana Pastuszewskiego, goszczącego wtedy w Gorzowie. A także opowiadanie „Dyskoteka” Karola Gruma, aktora i prozaika pochodzącego ze Szczecina (właściwie z Polic), ale zatrudnionego krótko (bo zaraz zmarł) w teatrze gorzowskim. Krótkie opowiadania „Nad brzegiem” i „Czerwone światło” dał do druku Kazik Furman (to drugie pod nazwiskiem swojego bliskiego kolegi Janusza Zwolskiego). Były też jak zawsze wiersze – m.in.: Leszka Rybki, Teresy Wilczyk, Władysława Łazuki, Barbary Trawińskiej, Kazimierza Furmana i Janusza Olczaka oraz reportaże literackie i stosowny felieton, kreslone przeze mnie. Haiku (siedem) opublikował Bogdan Grabowski, który wkrótce zmarł (nie obudził się w domu ze snu po wyrwaniu zębów u dentysty).

W „Dodatku Literackim” (styczeń–luty) 1980 r. Kazimierz Furman omówił bardzo przychylnie tomik Zdzisława Morawskiego „Wektory”. Zamieściliśmy opowiadanie „Notes

Podróżny” Władysława Łazuki z Choszczna i obszernie opowiadanie „Czekanie na Julię” Ryszarda Błażejewskiego z Myślborza. Także popelnioną przeze mnie recenzję powieści Janusza Olczaka „Wieże magistratu”. Były wiersze – Kazimierza Wachowicza, Beaty Ananiewicz-Szmidt, Wojciecha Sroczyńskiego, Teresy Wilczyk i Kazika Furmana oraz humoreska „Patyk” Janusza Olczaka. Widnieją też sporej objętości „Notatnik”, akcentujący osiągnięcia konkursowe gorzowskich „młodych” – w tym wydaniu tomiku fraszek przez Jana Grossa „Szczypta swawoli” („Iskry”, W-wa) oraz debiucie książkowym drugiego naszego „fraszkopisa” Tadeusza Szyfera „Parę gaf i \$” (też „Iskry”).

Fraszki w „Gorzowskiej Przemysłówce” stale zamieszczał Jerzy Leszczyński z Krakowa, ale też – zdarzało się – Tadeusz Szyfer, Kazimierz Wachowicz i Jan Gross. Wiersze – Stefan Pastuszewski, humoreski – Janusz Olczak, także Szyfer, Zenon Nowopolski, Henryk Krysiak i Karol Grum. „Szopki Noworoczne” pisali dwaj panowie K. – Wachowicz, Furman i ja. „Gorzowska Przemysłówka” nr 6-7 z 1977 r. zamieściła potężne opowiadanie Janusza Olczaka „Transportowcy”, G.P. nr 5 z tegoż roku – reportaż literacki Henryka Krysiaka pt. „Fortepian Chopina”.

W „Nowej Wsi” ukazała się kolumna literacka z publikacjami wierszy Lidii

W. Antkowiak, Doroty Dembowy, Barbary Trawińskiej, Leszka Rybki i moich. Poza tym było normalnie, choć gorączka polityczna trawiła prawie wszystkich. Nadal odbywały się zebrania i konsultacje literackie, spotkania autorskie zbiorowe i indywidualne, ludzie publikowali w różnych czasopiśmie, zdobywali laury w konkursach i turniejach. W 1979 r. tomik fraszek „Z przymrużeniem oka” wydał Jan Gross, tomik wierszy „Drzwi otwarte” Nina Pawłowska, w 1980 r. Władysław Łazuka „Tamto wszystko za tobą”, a także: Kazik Furman „Kształcenie pamięci”, Maria Przybylak „Polimer granulowany”, Barbara Trawińska „Wyciszenia” – wszystko to staraniem Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. Od tego przełomowego roku przewodniczącą gorzowskiego KKMP była już Beata Ananiewicz-Szmidt. U niej też z okazji wyborów nowego zarządu zdaje się niezłe zabalowaliśmy. Teraz Beata zanosila nasze wiersze do konsultacji u Zdzisława Morawskiego, tak jak ja przedtem, a jeszcze wcześniej Kazik.

„Dodatek Literacki – propozycje” w „G.P.” nr 7-8 z kwietnia 1981 r. przynosi artykuł krytyczny Kazimierza Wachowicza „O debiutach i nie tylko” – omawiający pięć arkuszy poetyckich członków KMP: K. Furmana, W. Łazuki, Niny Pawłowskiej, M. Przybylak i B. Trawińskiej. Jerzy Klincewicz (pracownik „Silwany” – zagorzały działacz „Solidarności” pomieścił obszerne opowiadanie „Fin de belle epoque”, K.J. Furman poemat „Miasto”, Krystyna Zwolska – wiersz „Macierzyństwo”. Ja omówiłem trzynastą (!) książkę wydaną przez J. Olczaka „Peregrynacja z Wilkołakiem”.

Janusz Olczak o naszej „G.P.” napisał zresztą tak: „Wzruszył mnie setny numer „Gorzowskiej Przemysłówki”. (...) Pismo jest także organem gorzowskiej kultury. Sumiennie odnotowuje każdą premierę gorzowskiego teatru. Wielkie pochwały należą się za dodatki literackie, w których debiutowało wielu młodych poetów. Opublikowano tam fragmenty prozy, a przecież – jak to się mówi, nie pamiętam za kim – każdy wiersz to dobry uczynek..”

Pegazy – każdy w swoją stronę

W 1981 r. w GTK tomik „Kłosy” opublikowała Stanisława Plewińska. Ukazał się też w Wydawnictwie Poznańskim almanach prozy pisarzy lubuskich „Wizerunki”. Wybrał i przedmowę napisał Henryk Bereza. Znalazło się w nim i moje opowiadanie pt. „Rusztowanie wewnętrzne”. Wyszły kolejne tomiki – w 1982 r. Wiesława Michalak „Szukanie czerwieni”, w 1983 „Czytanie z natury” – Władysława Łazuki, w 1984 „Miasteczko B.” – Beaty Ananiewicz-Szmidt, w 1985 „Powroty” – Teresy Wilczyk i „Ja po raz drugi” – Niny Pawłowskiej, oraz almanach poetycki pod redakcją Janusza Koniusza i Zenona Łukaszczyka pt. „Nauka tańca”. Z naszych zaprezentowali się tam: Beata Ananiewicz-Szmidt, Zenon Cichy, Bernadetta Doberschuetz (później – Kajdan), Kazimierz Furman, Wiesława Miłkowska (wcześniej Michalak), Eugenia Modzelewska, Józefa Pawłowska, Nina Pawłowska, Stanisława Plewińska, Maria Przybylak, Aldona Robak, Elżbieta Skorupska, Wojciech Sroczyński, Barbara Trawińska, Teresa Wilczyk i Marzena Zielonka (druga żona K. Furmana).

1987 r.: debiutuje tomikiem „Nim dojdę” Elżbieta Skorupska. Ukazują się także „Wiersze” – Eugenii Modzelewska i „Wiersze” – Józefy Pawłowskiej, a w 1989 r. „Drzewo grzechu” – Kazimierza Furmana. Kontakty pomiędzy pisarzami z kręgu KMP stawały się jednak coraz luźniejsze, brakowało spotkań, „Gorzowska Przemysłówka” przestała się ukazywać na początku lat osiemdziesiątych (1982). Dojrzałi o doświadczenia publikowaliśmy w „Nadodrzu” i „Ziemi Gorzowskiej”, a także w czasopiśmie ogólnopolskich. Lecz życie nie znosi próżni, zwłaszcza literackie życie organizacyjne. W 1981 r. w Gorzowie powstał oddział Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Przeszło tam wielu członków dawnego KKMP i KMP. Przewodniczącą została Maria Przybylak. Zyskaliśmy nowe trybuny prasowe dla publikacji, np. „Twórczość Robotników”, „Stilon Gorzowski”, „Bez przysłony” i inne. Z gościnności łamów tej prasy też korzystałem i nadal korzystam. Organizowano Interdyscyplinarne Warsztaty Artystyczne w Lubniewicach. Pamiętam, że po wizycie Pawła Soroki – przewod. Rady Krajowej RSTK w 1983 r. w „Twórczości Robotników” (nr 1/15) ukazała się cała obszerna kolumna z moimi wierszami.

Niesforny Kazio

O napastliwości i bezpardonowości Kazika wobec innych twórców – czym mocno przyczynił się do rozbitcia środowiska – a w szczególności wobec tak zwanych, jak on ich nazywał „poetess” (choć właśnie one – nie wiedzieć czemu – do niego lgnęły jak muchy do lepu), jego skandalicznych zachowaniach na spotkaniach autorskich i towarzyskich dużo można by pisać. Nie ma jednak potrzeby, bowiem opisałem już Kazika dosyć ironicznie w opowieści „Okrucy talentu”. Cały cykl takich opowieści utworzył to „Piszę wyłącznie o sobie”. Opisałem tam swoich byłych przyjaciół, współpracowników i dobrych znajomych, bo – jak mówi przysłowie – z kim przestajesz, takim się stajesz. A przestawałem przede wszystkim z literatami, co to wszystko – na pohybel im! – zamieniają w opis.

Dosyć enigmatycznie wspominałem też o ostatniej zmianie na „stanowisku” przewodniczącego zarządu KMP. To dlatego, że nie pamiętam kiedy to się właściwie dokonało. Pamiętam natomiast okoliczności (przykre dla mnie) i miejsce – salkę na piętrze siedziby ZW ZSMP. Swoją publiczną krytyką mecenasów kultury naraziłem się pewnemu kierownikowi wydziału, który awansował później na sekretarza KW PZPR. Doprowadził więc do zwolnienia zebrania członków KMP, i dopiwnołał bym w jego obecności zrezygnował z funkcji. Nie do zdobycia była też dla mnie – co w tej sytuacji zrozumiałe – forteca wydawnicza Gorzowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, później zamieniona na Gorzowskie Towarzystwo Kultury. I to by było na tyle; gdyby ktoś zapamiętał więcej, proszę przypomnieć.

Marta Guśniowska

Deszczna noc

Coraz głośniej deszczu krople
Uderzają o parapet:
Więc wychodzę na dwór oknem
I te krople w dłonie łapię...

Łapię dziesięć, nawet więcej,
I dwadzieścia, i czterdzieści:
Wilgoć cieknie mi po ręce,
Bo już w dłoniach się nie mieści...

Lecz chcę jeszcze! Więcej jeszcze
Deszczu, co się

w gwiazdach mieni:
Kiedy w dłonie już nie zmieszczę,
Resztę złapię do kieszeni...

Już kieszenie przepiętione,
Już jezioro mam w kapturze:
W pełnych deszczu butach tonę,
Czołem tysiąc płynie stróżek...

Lecz czy starczy? Czy już dosyć?
Krople myśli pluszczą w głowie:
Cichym Morsem na dwa głosy
Wystukują mi odpowiedź:

Starczy! Chluszcząc wszem i wobec,
W wilgociących łez nastroju,
Przemoczoną swą osobę
Wpuszczam oknem do pokoju...

Potem chlapiąc mokrym krokiem
Do łazienki daję dyla:
Deszcz dobija się do okien,
Ja – nad wanną się pochylam...

Zaraz w wannę wszystko wleję
I zachowam na czas suszy:
Tak, jak chowa się nadzieję,
W przynajskrytszej części duszy...

Pozdrowienia z ziemi

A u nas? Wszystko jest wspaniałe:
Mamy się świetnie,

jest śliczna pogoda,
A dary ziemi są tak doskonałe,
Że aż odchodzić jest nam
czasem szkoda!

Tylko ciekawi jesteśmy jednego:
Zastanawiamy się,

czy mógłbyś, Panie,
Przysyłać po nas
tu kogoś innego,

Bo Śmierć sprzykrzyła nam się
niesłychanie...

Beata Klary Pastisz na Wenę

Weno
Gdzie żeś ty jest
o niełaskawa ...

Na czyjej głowie spoczywasz?
W kraju jakim zabawiasz?
Komu natchnieniem służysz?
Z kim pijesz, jadasz...

Kaw już wiele wypitych.
Myśli przewertowanych.
Kartek pogryzmołonych
Wierszy nie napisanych.

Na mojej głowie spoczywaj!
W moim kraju zabawiaj
Mnie natchnieniem służ
Ze mną pij i jadaj!

Gdziekolwiek jesteś
Bądźże łaskawa
Spójrz na trud poety

Kończy się przecież kawa ...



Ciężko być poetą

Gdy w ciemnym łóżku
zapisuję słowa
które olśnieniem
zagościły we mnie

On pod poduszkę
głowę zaraz chowa
wzdychając – „Przestań
szurać piórem sennie”

Joanna Regulska Złość

Siedzi złość, patrzy Gość!
„W nim zamieszkać sobie,
Wnętrze brzydkie
mu wyźłobię!”

Już rękawy swe zakasa
Gość ją przypiął do lampasa.
Złość się krzywi, podskakuje
Gościa buzia się raduje

O włosie

O włosie w królewskim nosie,
Na łapie smoka
i palonym na stosie
I o tym, co porusza wargą foka.
Co drży na wietrze, jak słowo
przestraszone głosem

Co zatracą się, gdy przemierza
przestrzeń w galopie.

Co się go wyjmuję, gdy przez
niego zupa nie smakuje
O tym wyczesanym
i pachnącym,

Od czulego dotyku drżącym
Od pyłu i kropli chroniącym.
Cienki, kręty, czarny
czy rudy – każdy jeden
Znosić musi pisane mu trudy.

Wiatr

A co to za Pan,
co zmienia mój stan?

On trawy wspak układa
We włosy roztargnienie wkłada.
Powiewem radość

na twarz przynosi
Słoneczną bryzą, serca podnosi.
Dofrunań gdzieś Pan,

lecz nie jest już sam
Tuż obok Niego lecą

lotki Puszka Białego
Pamiętaj codziennie,
że gdy idziesz w ten świat
Jesteś też tam,
gdzie Twój Dobry Pan Wiatr !

Joanna Regulska – absolwentka SGH i Wyższej Szkoły Przedsiębiorstwa i Zarządzania im. L. Koźmińskiego w Warszawie. W Gorzowie od 2004 r. Pracuje w firmie „Admax” (akcesoria GSM). Wiersze pisze od 2001 r.